



NUMER



121/122



1950



PORADNIK ŚWIETLICOWY



*wydawnictwo
Lurialowego Komitetu
Y.M.C.A.
sekcja Polska
w W. Brytanii*



TREŚĆ:

Feliks Bielski: Rozproszenie str. 1

ŚWIETLICA

Marian Bohusz-Szysko: Jak urządzić wystawy str. 2
Anna Bogusławska: Zza bibliotekarskiego stolika str. 4
Adam Galiński: Pomoc dla sceny amatorskiej str. 5
Nasza biblioteczka teatralna str. 6

WIECZORNICE

Aleksander Fredro: Świeczka zgasła str. 7
Aleksander Fredro: Z jakim się wdajesz, takim się stajesz str. 11

WIADOMOŚCI

Wiktor Kwast: Majstrowanie. Rzutnik fotograficzny (2) str. 17
Maria Danilewiczowa: Czterdzieści milionów książek str. 22
Tadeusz Felsztyn: Z wizytą u planetnika str. 23
Zdzisław Broncel: Przegląd filmowy str. 25
Jan Ostrowski: Polskie zespoły tańców narodowych w Nowym Jorku str. 26

Z życia YMCA:
Plenarne zebranie Światowego Komitetu YMCA str. 27
Jerzy Zubrzycki: Wspomnienie z obozu w Botley str. 28
YMCA w Danii str. 29
Ruch imkarski w strefie amerykańskiej Niemiec str. 29
Obóz studencki w Murnau str. 29
Jeszcze o akcji obozów letnich str. 29
Obóz zimowy we Francji str. 30
Zebrania byłych obozowców str. 30
Koło fotograficzne str. 30
Bibliografia książek w języku angielskim o Polsce str. 30
Kalendarzyk Klubu Londyńskiego na grudzień 1950 r. str. 4 okt.

PRENUMERATA: Roczna — £ 1 sh. 1/-. Półroczna — sh. 12/-.

Cena numeru pojedynczego sh. 2/-, podwójnego sh. 4/- wraz z przesyłką.

We Francji cena za numer pojedynczy — 60 fr., numer podwójny — 120 fr.; pismo do nabycia w Świetlicach YMCA, Polska Sekcja we Francji, 13, Avenue Raymond Poincaré, Paris 16-eme, J. P. Olesiński

OGŁOSZENIA: 1/1 str. — £ 40. 1/2 str. — £ 21. 1/4 str. — £ 11. 1/8 str. — £ 6. 1/16 str. — £ 4.

Rękopisów niezamówionych i niezastrzeżonych Redakcja nie zwraca.

Przedruk materiałów oryginalnych i specjalnie dla „Poradnika Świetlicowego” napisanych dozwolony tylko za podaniem źródła.

Printed by: Drukarnia Polska M. Caplin & Co., Press Ltd., 15, Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey. Tel. THO 2727

PORADNIK ŚWIETLICOWY

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

Rok 11
Nr 121/122

Wydawca: Światowy Komitet Y.M.C.A., Sekcja Polska w W. Brytanii,
6, Cadogan Gdns, London, S.W.3, tel. SLOane 8821.

Wrzesień —
październik
1950

FELIKS BIELSKI

ROZPROSZENIE

Bezpośrednio po wojnie znaczna część uchodźców i wysiedleńców zamieszkiwała w dużych skupieniach obozowych. Później obozy uległy przeważnie likwidacji, mieszkańcy zaś ich rozjechali się po świecie. Mają wprawdzie powstawać w niektórych krajach osiedla mieszkaniowe, ale proces ten postępuje na razie powoli. Trwa natomiast nieustannie ruch emigracyjny, przyczyniając się do coraz szerszego rozsypania Polaków na różnych obszarach. Stosunkowo poważna liczba naszych rodaków na wyspach brytyjskich uzyskuje prawo pobytu w Stanach Zjednoczonych; gromady uchodźców odpływają regularnie z zachodnich Niemiec.

Pobyt w obozach miał wiele stron ujemnych, o których mówiło się już po wielekroć. Dlatego wszyscy przyjęli zwińczenie obozów z uczuciem ulgi. Z drugiej jednak strony życie obozowe stwarzało w zakresie kulturalnym te możliwości, jakie daje egzystencja w dużej gromadzie. Obozy ułatwiały ściąganie publiczności dla podejmowanych imprez; dlatego tak chętnie organizowano w nich przedstawienia, koncerty i odczyty. Prelegent czy zespół artystyczny, przyjeżdżający z zewnątrz, mieli podstawę do przypuszczenia, że mogą liczyć na wypełnioną salę. Ryzyko finansowe było zatem stosunkowo nieznaczne, co stawało się zachętą do częstych odwiedzin. Było rzeczą powszechnie znaną, że w niektórych obozach widziało się więcej imprez kulturalnych, niż w niejednym środowisku miejskim, zamieszkałym przez dużą liczbę Polaków.

Niemniej dogodne były warunki dla urzeczywistnienia inicjatyw podejmowanych przez siły lokalne. Przede wszystkim nie istniały trudności komunikacyjne. Dalej utrzymywano zazwyczaj na miejscu osoby, opiekujące się z urzędu sprawami oświaty i kultury. Spośród współmieszkańców łatwo było pozyskać osoby o właściwych zainteresowaniach; nie sprawiało kłopotów zwalanie zebrań i organizacja pracy zespołowej. Ponieważ obozy mieściły się popolicie na odludziu, w oddaleniu od większych osiedli, władze musiały, ulegając nakazowi konieczności, założyć szkołę powszechną lub nawet przedszkole, co rozwiązywało problem nauczania dzieci.

Obecnie stoimy w obliczu zupełnej zmiany warunków współżycia uchodźczego. Wiele jednostek zamieszkuje w obcym otoczeniu i na codzień nie spotyka się z własnymi rodakami. Rządziej nadarza się sposobność do oglądania polskiego teatru, słuchania muzyki ojczystej, obecności na odczycie we własnym języku czy nawet wypożyczenie książki polskiej. Chciałoby się nieraz wydobyć z koła kłopotów codziennych i odetchnąć polską atmosferą, zanim jednak znajdzie się sposób na zaspokojenie tych pragnień, przychodzą troski bieżące, które skierowują uwagę w inną stronę.

Może za nadto przyzwyczailiśmy się do ułatwień. Podczas wojny wyręczało nas zwierzchnictwo. Ponieważ niektóre czyn-

ności kulturalno-oświatowe dostały się zaszczytu występowania w programach szkoleniowych, podczas zaś działań wojennych dbano o nie dla podtrzymania ducha żołnierskiego, nie trzeba było troszczyć się o książkę czy teatr, kino czy świetlicę, odczyt czy czasopismo. Przychodziły same, witane niekiedy kwaśnymi minami jak natrętna dokuczliwość. W okresie przystosowywania się do warunków cywilnych działały jeszcze w jakiejś szczątkowej postaci dawne organy.

Znajdujemy się zatem w okolicznościach podwójnie trudnych. Po pierwsze zdani jesteśmy na własną zaradność, nie będąc do tego jeszcze przyzwyczajeni. Po drugie zrywa się wzajemną łączność wskutek rozrzucenia na wielkich obszarach. Zarazem jednak nasze zainteresowania kulturalne i społeczne raczej się wzmocniły. Im mniej mamy sposobności do stykania się ze swoimi, do wymiany wrażeń i poglądów, do uczestnictwa w zbiorowych przedsięwzięciach, tym bardziej potęguje się nasz niedosyt uczuciowy i tym niecierpliwiej wyglądamy odpowiedniej książki, podniety artystycznej czy poprostu wieści z zewnątrz o „naszych” sprawach, które obcych nie dotyczą i obchodzą jedynie „swojaków”. Wniosek jest oczywisty. Trzeba przystosować się do zmienionych warunków i znaleźć takie metody działania, które w naszym obecnym położeniu nie zawiodą.

Na miejsce naczelnego wysuwa się korespondencja. Jest stosunkowo tania, dociera wszędzie i ciągle zyskuje na szybkości. Co prawda nie lubimy pisać listów, choć czasem z przyjemnością odczytujemy te, które nadchodzą pod naszym adresem. Przeciwny Brytyjczyk zatrudnia pocztę w stopniu o wiele większym, niż Polacy. Naszą apatię korespondencyjną trzeba jednak koniecznie przezwyciężyć. List stanowi nie tylko formę rozmowy na odległość, ale i bardzo skuteczny środek oddziaływania. Wymiana listowna zmusza nas do odpowiedzi w stopniu o wiele silniejszym, niż nieobowiązująca gadanina. Za pomocą listów można trafiać do opinii, pisując do czasopism. Coraz większa liczba naszych dzienników i periodyków otwiera na swoich łamach skrzynki pocztowe, dając przez to dowód liczenia się z nakazami chwili.

Należy tu wspomnieć o nauczaniu korespondencyjnym. Piliśmy już na ten temat kilkakrotnie, podając nie tylko zalecenia ogólne, ale i wskazówki na wskroś praktyczne. Doświadczenie wykazuje, że na drodze korespondencyjnej można prowadzić studia na wszystkich poziomach i niemal we wszystkich specjalnościach. Ciągłe mamy przeświadczenie, że dorobek naszego ośrodka korespondencyjnego w Glasgowie nie jest przez ogół dostatecznie wyzyskiwany. Podobną inicjatywę podjęła w roku ubiegłym Londyńska Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych. Niebawem nasza Sekcja YMCA wypuści w świat pierwsze wykłady z cyklu przeznaczonego dla pracowników na polu oświaty i kultury.

ŚWIETLICA

technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

MARIAN BOHUSZ-SZYSZKO

Jak urządzać wystawy

Temat ograniczymy do wystaw plastyki artystycznej (a więc malarstwa, rysunku, grafiki, rzeźby i fotografii).

Przed zastanawianiem się, jak urządzać wystawę, należy odpowiedzieć na bardziej zasadnicze pytanie: czy w ogóle warto ją robić. Nie jest to taki komunał, jak by się na pierwszy rzut oka zdawało.

Dyrektor instytucji kulturalnej, kierownik klubu lub świetlicy uważa za swój święty obowiązek (i słuszenie), aby w lokalu powierzonym jego opiece „coś się działo”. Zarazem każdy prawie osobnik, który para się np. ołówkiem lub farbami, jest przekonany, iż to, co on właściwie robi, zasługuje na pokaz publiczny. Te dwie naturalne skłonności (organizatora z urzędu i członka danej społeczności) zmiernają do radosnego śpięcia, dającego słodki owoc: wystawę.

I otóż wspomniany proces jest tylko wtedy korzystny i potrzebny społecznie, jeśli są spełnione dwa warunki: 1. Ekspozyty są wynikiem twórczości, choćby elementarnej i prymitywnej, ale autentycznej; 2. Układ ich wzajemny na wystawie jest podporządkowany jednolitej i kompetentnej myśli porządkującej.

Uwzględniając fakt, że ignorancja w sprawach plastyki jest rzeczą równie częstą, jak rzadką bywa wyspa prawdziwego pisarstwa na morzu grafomanii, stwierdzamy, że zarówno spełnienie warunku pierwszego, jak i drugiego należy do wyjątków.

Dlatego też kierownik klubu lub świetlicy, jeśli sam nie orientuje się głębiej w sprawach plastyki, powinien koniecznie zasięgnąć rady kogoś kompetentnego, nim się zdecyduje na organizowanie imprezy artystyczno-plastycznej.

Z chwilą gdy decyzja w sprawie takiej wystawy zapadnie, czeka nas kilka czynności:

1. Wyznaczenie terminu (z reguły nie wcześniej, niż za miesiąc od chwili postanowienia, a normalnie 2-3 miesiące później).

2. Ustalenie listy ekspozytów, przeznaczonych na wystawę. Czynność ta, nadzwyczaj ważna, powinna być zostawiona wystawiającemu (wystawiającym) i jego (ich) kompetentnemu doradcy.

Wytęcza przy doborze ekspozytów winna być ich różnorodność, niepowtarzalność i istotna **użyteczność dla zwartej całości pokazu**. Zachodzi tu analogia z doбором słów w dobrze zbudowanym zdaniu, gdzie każdy wyraz musi być niezbędny dla pełnej dobitności i precyzji wyrażanej myśli. Każdy ekspozyt na wystawie, który można odrzucić bez szkody dla jej całości, — powinien być usunięty, podobnie jak słowo ze zdania, jeżeli nie przyczynia się

ono do jego jasności. Jest to zasada ekonomii, służąca nie tylko w stylistyce czy budowie wystaw.

3. Ustalenie lokalu wystawy. Należy pamiętać, że lokal nieodpowiedni przesądza o konieczności zaniechania wystawy. Np. wystawa malarska nie może mieścić się w lokalu, w którym obrazu nie da się oglądać z odległości przynajmniej trzykrotnie większej od jego najdłuższego wymiaru (to znaczy: jeśli obraz ma wysokość jednego metra, widz musi mieć możliwość oglądania go przynajmniej z odległości trzech metrów). Nie można też urządzać wystawy malarskiej w pokoju, który nie ma innych miejsc na wieszanie obrazów, jak odstępy między oknami. Należy pamiętać o zasadzie: obraz, którego nie można pokazać we właściwym świetle — w ogóle nie powinien być pokazany (dotyczy to przede wszystkim malowideł, a więc ekspozytów, w których decydującym czynnikiem jest kolor).

4. Oprawa obrazów i rysunków — jedna z czynności zasadniczych. Obrazy źle oprowiane nie powinny być wystawiane, podobnie jak nie należy grać utworu muzycznego, wiedząc, że zewnętrzne hałasy uniemożliwią jego odbiór słuchaczom. Oprawa obrazu jest częścią procesu jego wystawiania. Dobra rama nie poprawi złego obrazu, ale najlepszy obraz można wizualnie zabić ramą źle dobraną. Oprawiać obraz z reguły winien sam autor. Jeżeli natomiast jest on młodym i niedoświadczonym plastykiem, rada kompetentnego doradcy jest niezbędna.

Jak ma wyglądać dobra rama? Bagatela! To tak, jak byśmy zapytali, jak ma wyglądać dobry obraz... — Ogólna zasada głosi, że rama nie powinna przysłuszać obrazu a równocześnie, oddzielając go od otoczenia, musi wzmacniać jego działanie barwne.

Rama — to tak, jak akompaniament przy śpiewie. O doborze ramy decyduje kolor obrazu, a ponieważ zachodzi tu może nieograniczona różnorodność, — także może być i różnorodność ram. Można natomiast z góry założyć, że ramy błyszczące, np. złote, o bogatej, nie ściszonej ornamentyce, będą prawie zawsze zabijać obraz.

Łatwiej można określić właściwe ramy dla rysunków, prac graficznych i fotografii. — Wąskie obramowanie z surowego (lub bajcowanego) drzewa i białe passepartout nie zawiodą tu nigdy.

Na tej samej wystawie ramy obrazów mogą i nawet winny być różne, natomiast rysunki najlepiej wyglądają w ramach jednolitych. Szkło przeszkadza np. obrazom olejnym bardzo często, rysunkom — pomaga zawsze. Doskonałe ramy bywają nadzwyczaj

proste, zawsze jednak oprawa obrazu musi być staranna. Niechlujstwo mści się tutaj zabójczo (a gorzej od niechlujstwa — zły smak).

5. Rozmieszczanie obrazów w lokalu wystawy jest czynnością niemniej trudną od selekcji eksponatów i od ich oprawy. Tylko skojarzone ze sobą — o czym rozstrzyga smak i doświadczenie — zapewnią wynik zadowalający.

Podstawową czynnością jest ustalenie tła, na którym eksponaty zostaną zawieszane. Jeżeli sala (pokój) wystawowa ma ściany białe, lub jeszcze lepiej — w tonacji szarego tynku, nie trzeba szukać lepszego rozwiązania i obrazy umieszczamy bezpośrednio na ścianach. Ściany kolorowe, a co gorsza, wytapetowane w desenie — zabijają każdy obraz bez pudła. Jedynym rozwiązaniem w takim przypadku jest pokrycie całych ścian szarym papierem lub płótnem (!). Często taki zasadniczy zabieg okaże się niemożliwy, np. z powodu kosztów; wtedy ratujemy się szlakiem z szarego papieru (a lepiej płótna) o szerokości przynajmniej półtora raza większej od wysokości najwyższego obrazu. Gdy tło jest ustalone, rozstawiamy obrazy pod ścianami i, przed zawieszeniem, dokonujemy najtrudniejszej czynności: komponowania wystawy.

Jeżeli wystawa jest pokazem zbiorowym kilku autorów, należy przede wszystkim ustalić, czy umieszczamy eksponaty każdego z wystawiających w zespołach zwartych, czy też „wieszamy” indywidualności, bacząc tylko na ogólną rytmikę całości. I jedna i druga koncepcja jest możliwa, i jedna i druga ma swoje strony dodatnie i ujemne.

Jeżeli wystawa ma np. charakter pedagogiczny i ma zobrazować postępy, dokonane przez poszczególnych autorów w określonym czasie, oraz podkreślić ich odrębności twórcze, — będzie rzeczą celową przyjęcie pierwszej koncepcji (zwartego zespołu prac jednego autora). Na wystawie grupy dojrzałych artystów najczęściej przyjmujemy drugą koncepcję, pozwalającą na precyzyjniejsze rozwiązanie całości wystawy pod względem wizualnym.

Komponując „szlak” wystawowy, należy pamiętać o wzajemnym działaniu na siebie obrazów zarówno ze względu na ich kształt, jak i na ich kolor. W zakresie kształtu jest regułą zestawiać raczej wymiary analogiczne (większe obrazy z większymi); w zakresie barwy — odwrotnie, zestawiać kontrasty, a nie analogie. Jest rzeczą pożądaną, aby obrazy wisiały w jednym rzędzie; wieszanie eksponatów w dwóch lub więcej rzędach nad sobą jest raczej niewskazane, chociaż, oczywiście, mogą zachodzić wyjątki, spowodowane koniecznością. Należy zawsze ustalić **zasadniczą linię** w danej sali; może nią być np. linia dolnych krawędzi obrazów (rzadziej górnych), lub ich środków. Jeżeli jeden lub kilka obrazów „wybijają się” swoimi wymiarami, t.j. są bądź to wyjątkowo duże, bądź wyjątkowo małe w stosunku do pozostałych, — mogą one bez szkody dla całości „przyrywać linię” zasadniczą (to znaczy że np. ich dolne krawędzie mogą być poniżej tychże krawędzi innych obrazów).

Decydującą dyscypliną pozostaje zawsze linia pozioma, porządkująca rytm obrazów na ich szlaku.

Rozstęp wzajemny obrazów jest oczywiście rzeczą równie zasadniczą, jak układ ich dolnych lub górnych krawędzi. W zasadzie należy dążyć do możliwie szeroki i jednakowych odstępów między obrazami. „Jednakowość” odstępów jest tu rozumiana w znaczeniu działania wrażeniowego, a nie geometrycznego pomiaru. Czasem można i należy zaburzyć poprawność geometryczną dla otrzymania równowagi wizualnej. To sprawa instynktu i doświadczenia (w braku ostatniego — lepiej trzymać się suchej, geometrycznej równowagi odstępów).

Wysokość powieszenia obrazów winna być taka, aby człowiek średniego wzrostu, na nie patrząc, nie potrzebował ani zadzierać głowy do góry, ani jej obniżać w dół; t.j. środki obrazów powinny wypadać mniej więcej na wysokości 160 cm od podłogi. Odchylenia w górę od tej idealnej granicy są oczywiście dopuszczalne, jeżeli warunki sali nas do tego zmuszają. Sprawa rozkładu światła na wystawie jest naturalnie jednym z decydujących czynników dla jej kompozycji.

Należy unikać wieszania obrazów olejnych (i innych malowideł pod szkłem) na ścianie przeciwległej do okien. Gorszym miejscem od takiej ściany (przeciwległej do okien) jest tylko ściana z oknami. Na tej ostatniej mogą, od biedy, znaleźć się rysunki (zamiast umieszczać tu najgorsze eksponaty, jak się to nieraz praktykuje, należy je po prostu usunąć...). Z powyższego wynika automatycznie, że ściany boczne w stosunku do okien są najlepszym miejscem na wystawie. Światło górne jest oczywiście ideałem, który rzadko spotykamy w naszych możliwościach realnych.

6. Porządkowanie sali po rozwieszeniu obrazów powinno się zaczynać od decyzji usunięcia z niej wszystkiego, co może odciągnąć uwagę od zasadniczego motywu i wystawy. Pod ścianami, na których wiszą obrazy, nie powinno być z reguły żadnych mebli. Jeżeli izba wystawowa jest dostatecznie obszerna (oto kryterium tej „dostateczności”: możliwość oglądania każdego obrazu z punktu na osi prostopadłej do niego, z odległości, równej przynajmniej jego trzykrotnej największej rozpiętości) można umieścić przy jej osi środkowej siedzenia dla zwiedzających. Czy należy umieszczać kwiaty? — Tylko jeżeli jest na nie miejsce dość znacznej odległości od eksponatów.

Powtarzam zasadę: im mniej przedmiotów rozprasza uwagę widza na wystawie (poza nią samą) — tym lepiej.

Uwaga, że w lokalu wystawowym musi być schludnie, jest aż krępująco oczywista.

Wskazówki powyższe, raczej ogólne i zupełnie nie wyczerpujące, dotyczyły czynności, wiążących się bezpośrednio z urządzeniem sali wystawowej.

Istnieją problemy specjalne, dotyczące organizacji wystaw, a więc: reklama, zaproszenia, forma otwarcia, recenzje (i droga starania się o nie), sprzedaż eksponatów, czas trwania... Sprawy te, należące do ogólnej techniki organizacyjnej, pozostawiam do omówienia bardziej kompetentnemu pióru niż moje.

Podobno w strategii obowiązuje maksyma: lepiej działać źle, niż wcale. Niech mi wolno będzie wygłosić tezę, że przy organizacji wystaw jest odwrotnie: lepiej nie organizować wcale, niż źle.

ANNA BOGUSŁAWSKA

Zza bibliotekarskiego stolika

(*Garść obserwacji*)

Lubiłam bibliotekę w naszym hostelu, może dlatego, że ją wychowałam, że tak powiem, od dziecka. Kiedy przyjechałam, jako jeden z pracowników biura oświatowego, wielki stos książek leżał w nieładzie w kącie nieczynnej świetlicy, a kierownik malował, zieloną farbą, dwie szafy, przerobione własnoręcznie ze starej budki telefonicznej. Jakie one tam były, to były, ale miały dostateczną ilość półek, skoble i kłódki, a więc stanowiły podstawę, od której można było zaczynać. Przejrzałam książki i stwierdziłam, że większość jest wartościowa i interesująca. Była to zresztą już piąta biblioteka, przy której współpracowałam na emigracji. Muszę stwierdzić, że we wszystkich książki były dobre i — niestety — mniej więcej te same.

Porządkowanie trwało dwa miesiące, podczas których ludzie dopytywali się o datę otwarcia, naglili nas i robili wymówki, że jedyne urozmaicenie życia zostało im odejście.

I wreszcie nadszedł dzień, w którym mogłam otworzyć szafy, pełne szaro obłożonych książek, wyłożyć na stół katalogi i stanąć za stolikiem bibliotecznym.

Czytelników zgłosiło się około stu; książek było w chwili otwarcia prawie 800. Niestety, wkrótce okazało się, że przy tej dość pokaźnej ilości, większość czytelników nie może dobrać dla siebie lektury.

Po pierwsze dlatego, że książki były wyczytane. Relacje czytelników uświadomiły mi, że nie tylko pięć bibliotek, z którymi się zetknęłam, miało niemal te same księgozbiory, ale tak było ze wszystkimi bibliotekami na emigracji, i to nie tylko w Anglii, ale we Włoszech, w Niemczech, czy na Bliskim Wschodzie. Po prostu większość druków polskich, wydawanych na emigracji, znajdowała się we wszystkich bibliotekach.

Przekonałam się przy tym, że ze strawą duchową, jaką jest książka, nie jest tak samo, jak ze strawą w dosłownym znaczeniu tego słowa. Ktoś, kto jest głodny w fizycznym, zwykłym znaczeniu, będzie jadł byle co i zastąpi w razie potrzeby jeden artykuł spożywczy innym. W zakresie książki było inaczej. Jeżeli czytelnik nie znajdował książki według swoich upodobań, rezygnował, albo czytał znaną już sobie po raz drugi, czwarty czy piąty.

Wiele myślałam nad kryteriami wyboru, bo rzucał on interesujące dla mnie światło zarówno na warunki życia, jak na istotę charakteru ludzkiego.

Po pierwsze więc wskazywał on wyraźnie, jak rzadką rzeczą jest u ludzi chęć poznania prawdy, czyli zainteresowania intelektualne w ścisłym znaczeniu tego słowa. Na stu kilkudziesięciu czytelników, którzy się przewinęli podczas mej pracy bibliotecznej w hostelu, czterech czy pięciu mężczyzn objawiało zainteresowania zagadnieniami życia współczesnego, poza tym jedna szesnastoletnia dziewczyna o ukończonej szkole powszechnej wyczytywała wszystko, co mogła

znaleźć z dziedziny historii, druga — dwudziestoletnia — objawiała te i szersze zainteresowania.

To chyba wszystko. Większość czytała w celu ucieczki od życia, kompensacji jego szarości; dla nich istniały tylko powieści.

Szczególnym powodzeniem cieszyła się Rodziewiczówna, Orzeszkowa, Kraszewski, Gojawiczyńska, London i... Balzac. Nigdy nie leżała na półce żadna z książek Curwooda. Nawiasem mówiąc, czytane były jedynie jego opowiadania z życia zwierząt. Podczas całego okresu pracy nie udało mi się nikogo nakłonić do Dygasińskiego. Również „Folwark zwierzęcy” Orwella nie cieszył się uznaniem. Czytelnicy moi nie lubili rzeczy smutnych, — szukali happy-end’ów, silnych emocji uczuciowych, żywej akcji, wzruszeń i humoru. Książki Wiecha bywały czytane parokrotnie przez tych samych ludzi. Ogromne powodzenie miały powieści, ukazujące życie z „wyższych sfer”.

Na całej linii natomiast można było zauważyć ucieczkę od powieści wojennych, zwłaszcza z ostatniej doby. To była rzeczywistość, o której większość chciała zapomnieć. Powieść historyczna (poza jej najpopularniejszą odmianą) bywała czytana raczej przez niewielkie grono. Nawet doskonale powieści Kossak-Szczuckiej były wypożyczane w sposób umiarkowany. Myślę, że przyczyną był tu brak wiedzy historycznej. Zadziwiająco, jak ogół mało wie o historii! Młodzież z gimnazjów i liceów polskich, gdy przyjeżdżała na ferie, czytywała Kossak-Szczucką chętnie.

Do rzeczy „wyczytanych” należało wiele dzieł klasycznej literatury polskiej. Jedenaście pozycji egzemplarzy „Trylogii” stało sztywno na półkach i czasem wypożyczał jeden z nich ktoś, kto nie mógł nic dla siebie znaleźć.

Należały, jak i wiele innych, do żelaznego repertuaru bibliotek i były znane niemal na pamięć przez ludność, zamieszkałą od lat w obozach. Jedną tylko osobą pochłaniała je niezmiennie: a była nią młoda kobieta, pół-Włoszka, pół-Rosjanka, która opanowała dopiero co tajemnice języka polskiego. Pochłaniała jedną po drugiej, dopóki nie natrafiła w książkach na gwarę Tetmajera, której „rozgryźć” nie mogła.

Poezji miałam kilkadziesiąt tomików i dwie osoby, które je czytywały (jedną z nich była ta sama dziewczyna, która objawiała zainteresowania historyczne).

Karty książek naukowych i popularno-naukowych były na ogół nietykane zupełnie. Bardzo stopniowo udało mi się obudzić zainteresowanie niewielkiego grona dla miesięcznika „Kultura”, dla tomików wydawnictwa „Wczoraj i dziś” i kilku krytyk literackich.

Znamienne jest, że wystarczył jakiś odcień patosu czy wzniosłości w tytule, aby książka była „położona” na amen. Miałam taki tomik — niezłe napisany życiorys — zatytułowany „W służbie ludzkości”.

Każdy czytał tytuł i odkładał książkę. Ludzie czują wyraźną nieufność do wielkich słów. Ten sam objaw występował w silniejszym nawet stopniu po wojnie w kraju.

Zaledwie stokilkadziesiąt książek na 800, należących do biblioteki, krążyło między czytelnikami. Reszta stanowiła pozycję martwą, nie spotykała się z niczymi zapotrzebowaniami.

POCZYTNOŚĆ

Bywali czytelnicy, którzy mogli przeczytać powyżej jedną książkę na miesiąc, ale miałam wielu takich, którzy wymieniali książki każdego dnia wypożyczeń, tj. trzy razy na tydzień. Zdumiewałam się, w jaki sposób godzą to z pracą w fabryce, domem dziećmi. Wyjaśniali mi, że czytają wieczorem, kiedy reszta rodziny pogrąża się we śnie. Byli to z pewnością nie tylko miłośnicy, dla których książka stanowiła największą wartość, ale jednocześnie ci, którzy byli wyjątkowo szybkimi czytelnikami. Między szybkością czytania poszczególnych osób istnieją wielkie różnice. Badania, przeprowadzone wśród studentów jednej z uczelni warszawskich, wykazały, że przez minutę jeden czyta sto kilkadziesiąt słów, a inny przeszło tysiąc.

Ilość wypożyczeń w ciągu miesiąca przekraczała 300, ale wiem, że najczęściej wypożyczoną książkę czytało kilka osób w rodzinie, często zaś również sąsiedztwo.

ZAKUP NOWYCH KSIĄŻEK

Mimo, że parokrotnie udało mi się wypożyczyć czasowo małe komplety nowych książek z Londynu, głód nowych powieści dawał się stale w bibliotece odczuwać. Dlatego czytelnicy opodatkowali się dobrowolnie w wysokości 6 d. miesięcznie na zakup nowych

książek. Składki te wpłacali chętnie, tak że można było co miesiąc wydać około półtora funta na ten cel.

Równocześnie zaprowadziłam „Książkę życzeń”, aby przy zakupie kierować się jak najbardziej potrzebami czytelników. Wykupiliśmy wszystkie istniejące tomy Balzaca, Kraszewskiego i innych ulubionych autorów. Niestety, wybór, który ofiarowują polskie katalogi, jest nadzwyczaj ubogi w stosunku do wyboru w okresie przedwojennym. Cieszyliśmy się jednak i z tego, że znalazła się droga zaspokojenia wszystkich potrzeb bez zbytniego obniżenia poziomu. Listy świeżo zakupionych książek wywieszałam na tablicy wraz z datami zakupu, aby każdy mógł dowiedzieć się, co otrzymuje za własne pieniądze. Czytelnicy zamawiali książkę według kolejności zgłoszeń. Mimo, że każda książka była początkowo ogromnie oblegana, nie warto było kupować dwu egzemplarzy; przy tej ilości czytelników jeden egzemplarz starczył, aby wszyscy się z nią zapoznali, i woleliśmy większą rozmaitość. Z upływem czasu poczytność stopniowo się zmniejszała i weteranka częściej spoczywała na półkach.

ZAKOŃCZENIE

Stopniowo poznawałam zainteresowania czytelników i mogłam coraz lepiej doradzać im w wyborze i kierować ich lekturą. Gdy trafiła się chwila wolna, rozmawiałam z ludźmi o tym, co przeczytali, i wymienialiśmy wzajemnie nasze spostrzeżenia.

Mimo że czytali dla zaspokojenia potrzeb uczuciowych, stopniowo rozszerzały się ich horyzonty i krąg zainteresowań się zwiększał. Można było zainteresować jednostki jakimś zagadnieniem i podsunąć któryś z mniej poczytnych tomów.

Jeśli chodzi o młodzież: czy nie należałoby zbadać, gdzie leży magiczny wpływ haniebnie wyglądających pisemek angielskich, tzw. komików?

ADAM GALIŃSKI

Pomoc dla sceny amatorskiej

Dawna emigracja polska, osiedlona przed laty poza krajem macierzystym, poprzez własne doświadczenie doszła do wniosku, że zamiłowanie do rodzimej kultury budzi najskuteczniej scena amatorska. Ten rodzaj działalności kulturalnej jest dostępny właściwie dla wszystkich, — czyto w charakterze widzów, czy współpracowników, i ma tę wyższość nad innymi, że umożliwia bezpośrednie zetknięcie nie tylko z żywym słowem, ale także muzyką i śpiewem, tańcem i dekoracją. Było do przewidzenia, że i nasze uchodźstwo wojenne prędko w swoim programie kulturalnym wyznaczy scenie amatorskiej poczesne miejsce.

Liczył się z tym od dawna „Poradnik Świetlicowy”. Poczynając od roku 1947, pismo nasze zamieszczało systematycznie różnorodne materiały, instrukcje i wska-

zówki dla osób, interesujących się problemami sceny amatorskiej. Staraliśmy się wytrwale o zbogacenie repertuaru, tej największej troski polskich amatorskich zespołów teatralnych. Przy Polskiej YMCA powstała biblioteczka teatralna, dostępna dla wszystkich. Sygnalizowaliśmy ważniejsze zjawiska z tego zakresu na obszarze wysp brytyjskich. Kilkakrotnie otwieraliśmy dyskusję na tematy teatralne, celowo wysuwając na widownię zagadnienia sporne. Pragnęliśmy oddźwięku ze strony czytelników i byliśmy przygotowani na obfitą korespondencję.

Ostatnio w akcji naszej zyskaliśmy dzielnego i użytecznego sojusznika. Świadczy o tym nowy zeszyt „Materiałów Oświatowych”, wydawanych przez Wydział Kultury i Oświaty przy Zarządzie Głównym SPK. Zeszyt ten, noszący tytuł „Teatr amatorski”,

stanowi właściwie sporą książkę o stu trzydziestu pięciu stronach. Zawiera on cztery ciekawe artykuły, uzupełnione cennym zestawieniem bibliograficznym. Dla osób, związanych ze sceną amatorską, wydawnictwo to stanowić może rodzaj popularnej encyklopedii, nie wyczerpującej oczywiście tematu, ale niewątpliwie pomocnej.

Z punktu widzenia praktycznego najwięcej informacji przynosi artykuł Wacława Radulskiego p. t. „Wskazówki dla reżysera teatru amatorskiego”. Autor jest doświadczonym reżyserem, orientującym się nie tylko w pracy teatralnej w ogóle, ale i w szczególnych warunkach i możliwościach sceny amatorskiej. Wspomina on kolejno o czynnościach wstępnych, poprzedzających wystawienie sztuki, o technice przeprowadzania prób, o urządzeniach scenicznych, efektach świetlnych, towarzyszeniu muzycznym, charakterystyce, kostiumach i rekwizytach. Oczywiście niepodobniestwem było wdawanie się w szczegóły, ale to, co autor zdołał wypowiedzieć w ramach, na na jakie pozwalała szczupłość miejsca, daje wiele nie tylko osobom początkującym, ale i amatorom, bardziej oswojonym z tego rodzaju tematyką.

Zygmunt Nowakowski zamieścił swoje rozważania, poświęcone mówieniu na scenie. Ktokolwiek zetknął się bliżej z przedstawieniami amatorskimi, ten wie, że wykonawcy popełniają stosunkowo najwięcej grzechów w zakresie wymowy. Wiadomo, że sztukę tę zdobywa się nie przez przyswojenie sobie wiedzy podręcznikowej, lecz przez długie ćwiczenia praktyczne. Słusznie autor radzi swemu czytelnikowi, aby sam „zaczął przyglądać się bacznie życiu i wzajemnym sąsiedzkim stosunkom, jakie panują pośród samogłosek i spółgłosek, w ten bowiem tylko sposób można uniknąć niektórych błędów”. Szkoda, że do artykułu wkradło się kilka niewłaściwych przykładów, które mogą wywołać zakłopotanie u gorliwców, pragnących wszystkie zalecenia stosować w praktyce (nie modlimy się nigdy „Bońc wola Twoja”, gdyż dźwięczne „w” sprawia, że poprzedzającą spółgłoskę wymawia się

zazwyczaj dźwięcznie; wymowa samogłosek nosowych „ą” i „ę” zależy od następującej spółgłoski, etc.). Ale chociaż można różnić się co do szczegółów, zasadnicze stanowisko autora zastrzeżeń nie budzi.

Tymon Terlecki zajął się rolą teatru w życiu. Artykuł jego dopomoże miłośnikom sceny do wyrażniejszego zdania sobie sprawy z kierujących nimi motywów, a zarazem do lepszego zrozumienia funkcji społecznej przypadającej w udziale teatrowi amatorskiemu. Takie rekolacje ideowe potrzebne są zwłaszcza w początkowej fazie istnienia amatorskiego zespołu teatralnego. Czego taki zespół może dokonać, widać ze wspomnień Mariana Czuchnowskiego p. t. „Życie jednego teatru”. Znany poeta przerosi nas wyobraźnią do wsi Łuzna, gdzie od roku 1912 istniał oddział Towarzystwa Teatru i Chóru Włociańskiego.

Wspominaliśmy już o bibliografii, opracowanej przez T. Terleckiego. Składa się ona z kilku działów. Pierwszy obejmuje prace ogólne o teatrze; drugi dotyczy dziejów i osiągnięć teatru polskiego; w dziale trzecim znalazły się książki o scenie amatorskiej w językach obcych i polskim; zamyka ten wykaz wybór repertuaru dla scen amatorskich. Bibliografia jest robiona nieco „na wyrost” w tym znaczeniu, że wielu pozycji niepodobna zdobyć w poszczególnych ośrodkach polskich; właśnie jednak z tego względu trzeba było zgromadzić jak najwięcej tytułów aby każdy mógł znaleźć coś dla własnego użytku. Nie do pogardzenia jest również końcowa informacja praktyczna, podająca wiadomości o amatorskim ruchu teatralnym w krajach, gdzie zamieszkuje najwięcej polskich emigrantów.

Inicjatywa redaktorki wydawnictwa dr Zofii Kasprzyckiej została urzeczywistniona w najwłaściwszej chwili. Wiemy, że liczba polskich teatrów amatorskich wzrasta niemal z miesiąca na miesiąc i że uczestnicy ich rozglądają się za czymś przewodnictwem. Trzeba dołożyć starań, aby ruchowi temu jak najskuteczniej dopomóc.

NASZA BIBLIOTECZKA TEATRALNA

Czytelnikom, którzy interesują się amatorskim ruchem teatralnym, przypominamy, że

„PORADNIK ŚWIETLICOWY”

zamieścił m. in. następujące jednoaktowe utwory sceniczne:

- | | | | |
|-------------------------------|--|-----------------------------|--|
| <i>Anna Bogusławska</i> | — Wesele na Mazowszu (z nutami). | <i>Teodozja Lisiewicz</i> | — Pazur Niedźwiedzi (dla młodzieży). |
| <i>Zdzisław Broncel</i> | — Matka i syn. | * <i>Teodozja Lisiewicz</i> | — Dwa ogniwa. |
| * <i>Wiktor Budzyński</i> | — Kelnerzy (z nitami). | <i>Zdzisław Marynowski</i> | — Murzyn. |
| <i>Jędrzej Cierniak</i> | — Zapusty z podkociołkiem. | <i>Zdzisław Marynowski</i> | — Operacja (humoreska sceniczna). |
| <i>Marian Czuchnowski</i> | — Pięć serc i jedna muzyka (rzecz o Fryderyku Szopenie). | <i>Zdzisław Marynowski</i> | — Słowny człowiek. |
| <i>Marian Czuchnowski</i> | — Święcone. | <i>Tadeusz Nowakowski</i> | — Przynajmniej nieznana. |
| * <i>Aleksander Fredro</i> | — Pierwsza lepsza, czyli Nauka zbawienna. | | Pozycje, oznaczone gwiazdkami, ukazały się również w osobnych odbitkach. |
| <i>Stanisława Kuszelewska</i> | — Dama kier. | | Zamówienia kierować można do Polskiej YMCA (6, Cadogan Gardens, London, S.W.3, Tel. SŁO 8821). |

WIECZORNICE

materiały i pomoce

ALEKSANDER FREDRO

ŚWIECZKA ZGASŁA

O s o b y :

Pani.

Pan.

Rzecz dzieje się w leśnej chacie.

(Scena przedstawia małą, nędzną izdebkę. Drzwi w głębi, przy drzwiach siennik na tapczanie, kocem przykryty; na lewo okienko, na prawo kominek wysoki, na którego gzymsie miska i parę garnków; na przodzie sceny w środku stół wąski a długi, za nim ława. Przy kominku siedzi Pani w salopie, w zakwefionym głębokim kapeluszu, i parasolką stara się wzniecić tlejący ogień. Później wchodzi Pan, w paltocie z kołnierzem wyżej uszów podniesionym, w czapce nasuniętej na oczy i latarnią pojazdową w rękę. W pierwszej połowie sceny mówią zawsze odwróceniu od siebie.)

Pan (*wchodząc*) Niech jasny piorun trzaśnie wszystkie poczty razem! Pocztylion pijany, szkapy narowiste, karetka jak z ciasta: życia nie jest się pewnym.

Pani (*wstając*) Czy możemy już jechać?

Pan (*nie słuchając*) Poduszki twarde, jak gdyby kasztanami wypchane. I zaledwie człowiek nareszcie zasnąć potrafi,—brum, bum, bum! budzi się w kałuży. To ani przyjemnie, ani wesoło.

Pani: Czy możemy już jechać dalej?

Pan: Szczęście, że uratowałem przecie latarnię z urzędową łojówką!

Pani: Czy pan nie słyszysz, o co się pytam? można być grzeczniejszym i odpowiadać przynajmniej. Pytam się: czy już możemy jechać dalej?

Pan (*znicierpliwiony*) Gdzie, jak, co, czym mamy jechać?

Pani: Jakto czym? Końmi, karetą, jakeśmy tu przyjechali... Prawdziwie, pan jesteś niegrzeczny.

Pan: Karetka do góry brzuchem tylko jednym kołem fika.

Pani: Można dźwignąć, nie takie ciężary dźwigają. Trzeba tylko trochę dobrej woli, trochę grzeczności. A nie można dźwignąć, to innym sposobem trzeba się ratować. Każ pan konie założyć do jakiej bryki.

Pan: A gdzież jest jaka bryka?

Pani: Do wozu nareszcie.

Pan: A gdzież wóz?

Pani: We wsi przecie woza znajdzie; tylko trzeba trochę grzeczności.

Pan: Ale, żeby wóz był we wsi, to na to trzeba wsi, a na milę wkoło wsi nie ma.

Pani: A to pięknie!

Pan: Piękności nie widzę. (*Pani wraca na zydelek; on mówi do siebie*) Im starsza, tym dla mnie niebezpieczniejsza; nie bylibyśmy się tak ogromnie wywrócili. Ale takie to już moje przeznaczenie, fatum!

Pani (*wstając*) I cóż teraz będziemy robić?

Pan: Czekać cierpliwie, póki pocztylion z innym nie wróci pojazdem.

Pani: Długo to trwać będzie?

Pan: Parę godzin.

Pani: To bardzo nieprzyjemnie.

Pan: W samej rzeczy nieprzyjemnie; ale nieprzyjemność przewidziałem, jak tylko spostrzegłem na stacji, że jakaś pani wybiera się ze mną w podróż.

Pani: Bardzo grzecznie; nie ma co mówić.

Pan: Ale grzeczniej byłoby, gdyby ta pani nie straciła była niepotrzebnie pół godziny czasu; ale jak się zaczęła rozbierać, przebierać, ubierać — nie było końca. Gdybyśmy byli wczas wyjechali, bylibyśmy, nim księżyc zaszedł, przebyli zły kawał drogi i nie byłoby katastrofy. Ale takie to już moje szczęście!

Pani: Nie byłoby katastrofy, gdybyś pan był nie spał.

Pan: To mój sen strącił z mostku?

Pani: A tak jest poniekąd, bo gdybyś był trochę grzeczniejszym, i nie był spał, byłbyś mógł doglądać i budzić pocztyliona, byłby się pojazd nie wywrócił i nie byłbyś pan na mnie upadł tak okropnie, bez najmniejszego względu, który się przecie każdej damie należy.

Pan: I cóż się złego stało?

Pani: Dobre pytanie! Zgniotłeś niegodziwie, ledwie mnie pan nie zadusiłeś.

Pan: Ale nie zadusiłem. (*na stronie*) Niestety!

Pani: Szkaradnie! Człowiek dobrze wychowany nie upada na damę jak kłoda. To się nie godzi!

Pan: Ależ, moja pani, to rzecz przeznaczenia. Gdyby się było wywróciło na moją stronę, byłbym panią chętnie i uprzejmie przyjął w objęcie; ale się wywróciło na prawo, musiałem upaść na prawo i troszkę ucisnąć, z wszelką wszakże przyzwoitością: to pani sama przyznać musisz.

Pani: I mój biedny kapelusz!

Pan: Tak, biedny! Pani się skarżysz, a ja pewnie do zażalenia się więcej mam powodów. Jakaś szpilka... gdzie tam szpilka! jakiś rożenek — bekasa by na nim upiekł — z biednego kapelusza wlał mi w szyję. Gdyby nie mój kołnierz podniesiony, byłby mnie przebił na wylot... Karkiem ruszyć nie mogę.

Pani: Już panu i szpilki szkodzą!

Pan: Zapewne, że szkodzą, kiedy kołą. Cieszcie się, panie, swoimi włosami, czarne, czy białe, rude czy żółte, ale nie przypinajcie waszych perukarskich pakietów ostrymi szpilkami, które zagrażają życiu podróżującego obywatela.

Pani: Ja żadnych perukarskich pakietów nie mam.

Pan: Winszuję pani. (*Długie milczenie.*)

Pani: Ależ ja zamoczyłam nogi!

Pan: Pani zamoczyła nogi, kiedy ja ją na ręku wynosiłem: jakież więc moje być muszą? Nie do tańca pewnie.

Pani: Ach, wyniosłeś mnie pan na ręku, i dziękowałam, trzy razy dziękowałam i dziękuję jeszcze — ale mnie koniecznie oporządzić się trzeba.

Pan: Zapewne, oporządź się pani!

Pani: Pan będziesz przecie tak grzecznym dla damy i ustąpisz się z pokoju.

Pan: Gdzież się mam ustąpić?

Pani: No, gdzie pan chcesz, byłeś tu nie był.

Pan: Deszcz leje jak z cebra.

Pani: Kto greczny, znajdzie radę na wszystko, byle tylko trochę dobrej woli, trochę grzeczności. Wszakże pan masz parasol...

Pan: I pod parasolem mam stać jak bocian na jednej nodze, póki się pani nie przebierzesz... to jest niby do wschodu słońca? O, proszę pani, to przechodzi granicę grzeczności... Ale czyliż razem zostać nie możemy? W potrzebie mogę zamknąć oczy... nie jestem ciekawy... bynajmniej ciekawy.

Pani: To być nie może. Jakaż ja biedna! Zawołajże mi pan przynajmniej tej kobiety, która nas tu przyjęła.

Pan: Tej kobiety nie ma. Wołałem, krzychałem; wyjechała pewnie baba na miotle...

Pani: Kominem, prawda, stary koncept, a niebardzo greczny. Gdybyś pan chciał, znalazłbyś ją pewnie, przepędzilibyśmy przynajmniej noc we troje, ale pan dla damy nie masz żadnych względów. To się prawdziwie nie godzi.

Pan: Ależ, proszę pani, gdzie ja mam szukać tej baby? Tu nie ma kurytarzów, ani rozległych apartamentów, ani suterenów, nie ma nawet sionki przed tą nędzną chatą, gdzie tylko cztery kąty, a piec piąty; i gdzież by się miała schować? gdzież ja ją mam szukać? do lasu nie pójdę.

Pani: Nareszcie, gdybyś tylko chciał, mógłbyś pan i w karetce nocować... gdzie już raz spałeś tak smacznie.

Pan: A, dajże mi pani spokój! W karetce tylko kaczką teraz nocować może.

Pani: Człowiek greczny znalazłby tam trochę miejsca.

Pan: W wodzie? O! takiej grzeczności ani zazdrości ani naśladować nie mogę.

Pani: Co ja mam robić? Boże mój! Boże mój!

Pan: Oto w kącie skromne łóżeczko: połóż się pani i śpij — prześpisz zmartwienie.

Pani: Na tym łóżeczku? okropieństwo!

Pan: Okropieństwo? Jak się podoba: nie śpij pani. *(zbliża się do łóżka i paltot zaczyna odpinąć).*

Pani (przestraszona) Co pan chcesz robić?

Pan: Chcę robić, czego pani nie chciałaś: chcę się spać położyć.

Pani: Ależ to być nie może.

Pan: Chciej pani być spokojna! ja zdejmę tylko paltot.

Pani: Ależ to niegrzecznie, to nieprzyzwoicie, tego nikt jeszcze nie widział! dama ma siedzieć na zydelku, a jegomość na łóżku rozciągnięty ma chrapać jak basetla.

Pan: Basetla. *(Na stronie)* Babka muzykalna. *(głośno)* Niechże i tak będzie! Przepędzimy noc bezsenną na pogadance.

Pani (p.k.m.) Proszę pana przynieść mi, z łaski swojej, jeżeli go to wielce nie utrudzi, trochę wody: mam nieznośne pragnienie *(Pan ogląda się na wszystkie strony, potem przynosi konewkę i podaje).*

Pani: Cóż to jest?

Pan: Woda.

Pani: Ale szklanki nie ma.

Pan: Prawda, nie ma; możesz pani łatwo widzieć, że kryształów nie ma w bufecie.

Pani: Jeszcze sobie żartuje! Ależ ja z konewki pić nie umiem.

Pan: W potrzebie można się nauczyć; podniosę trochę konewkę i w górze trzymać będę... nie ma niebezpieczeństwa... nie zaleję... ręczę honorem. Nie?

Pani: Nie, nie chcę.

Pan: Jak się podoba *(odnosi konewkę i siada na ławie).*

Pani (na stronie) O mój Boże, jakaż ja biedna, żem wpadła pod tak tyrańską opiekę!

Pan (zasłyszawszy) Ja żadnej opieki nad panią nie przyjąłem i nad żadną damą nigdy przyjmować nie będę. Mądra, która mnie złapie... Ona jednymi drzwiami, ja drugimi... w potrzebie skoczę z dachu albo wpław Pełtew przepłynę.

Pani (p.k.m.) Jeżeliby to nie przechodziło zakresu pańskiej grzeczności, prosiłabym go ogień poprawić.

Pan (zbliżając się do kominka) Czym poprawić? Władzę tylko jedną trzaskę i jeden patyczek jak ołówek.

Pani: A we wszystkim trudności! Tylko trochę dobrej woli... mnie zimno.

Pan: Ognia już nie ma.

Pani: Ach, gdzie tam, podmuchał pan trochę; proszę pana, podmuchał!

Pan (dmuchając) Fu! fu! fu! Dalibóg, nie ma.

Pani: Jeszcze trochę, proszę pana.

Pan: Fu! fu! fu! ani jednej iskry.

Pani: Jakaż ja biedna!

Pan: Ale w popiele są kartofle... spotkam się z nimi niepotrosze, bom diablo głodny po kąpiel. *(Czas jakiś milczenie. Pan przynosi kartofle na misce, dostaje dwie gazety z zapieczętowanego pakietu i zaściela nimi stół, dobywa nóż z kieszeni i siada na ławce. Pani zsydek, na którym siedziała, przynosi na przód sceny i siada odwrócona nieco od stołu).*

Pani (na stronie) Teraz będzie jadł — umie tylko spać i jeść — pewnie stary kawaler.

Pan: Ile razy chciałem służyć jakiej pani, zawsze mnie jakieś nieszczęście spotkało, i dlatego nie żeniłem się.

Pani: Zgadłam. Dobrześ pan zrobił.

Pan: Nie mam szczęścia do płci pięknej a nie młodej: to rzecz pewna. Gdzim się pomknął, katastrofa. Mógłbym tomy o tym napisać... uf, gorące. Na przykład, raz na balu siedziałem sobie spokojnie przy stronie... wtem jakaś rozchulana tańeczniczka zaczepia mi nogę krynolinową obręczą... padamy oboje, jak orzeł dwulbisty, ja na prawo, ona na lewo — powiadają, że było co widzieć, ale ja wiem tylko, że potem kulalem cały tydzień! *(Je — milczenie)* Drugi raz znowu wychodzę z teatru, kończąc sobie spokojnie dwugodzinne ziewanie; wtem na kurytarzu lampa naftowa pęka, jakaś pani staje w płomieniu. Rzucając się oczywiście, gaszę ogromną peryferię wszelkimi w tym razie dozwolonymi sposobami; gaszę i ugaszam nareszcie, ale poparzywszy sobie ręce i kolana. *(p.k.m.)* Chorowałem potem dwa tygodnie — fatum! *(po dl. m.)* Jednego dnia przyszło na myśl damom urządzić spacer dużym czółnem; dobrze, płyniemy po czystych wód kryształach... księżyc srebrnym światłem świeci... kwiaty pachną... słowik śpiewa — bardzo pięknie. Ale w czółnie coś zaczyna być za mokro... wody coraz więcej, woda sączy

się szparami, jakby szpary na to były. Damy krzyczą: do brzegu! Przybijamy więc do tego brzegu, wyskakujemy na piasek... ale biada! zdrada! spod piasku woda tryska, zapadamy się po kolana... trzeba damy wynosić, nie ma co myśleć. Dostała mi się najdłuższa — wyniosłem wprawdzie i uratowałem, ale potem krzyżów rozprostować nie mogłem. (p.k.m.) Chodziłem potem przez trzy tygodnie, jak haczyk — fatum, fatum! (Pani wstrzymuje się i śmieje się skrycie; po długim milczeniu). Nareszcie raz jednego wracam zmęczony z polowania — patrzę, jakaś kolasa pędzi, furmanowi leje z ręki wypadły — szkapy wierzgają... pani krzyczy: ratujcie! ratujcie! Jakże nie ratować, proszę pani. Biegnę, chwytam leje prr! prr! haho, haho!... kolasa stanęła, zbliżam się do stopnia i trzystofuntowa obywatelka pada mi w objęcia. Ugiąłem się wprawdzie... zatoczyłem się... i nogę pod koło włożyłem (p.k.m.). Leżałem potem w łóżku trzy tygodnie. Fatum! (Odsuwa miskę, czas jakiś milczenie).

Pani (na stronie) Jakże te kartofle pachną! (Wstaje i przechadzając się w głębi głośno) Co mnie mogą interesować smutne wypadki pańskiego życia!

Pan: Ja też nie opowiadam pani, ja mówię do siebie — monolog. Nie ma tragedii bez monologu, zaczawszy od sławnego monologu Hamleta: „być albo nie być”.

Pani: Aż do kartofli.

Pan: Może pani kiedy o tym słyszała?

Pani: O kartoflach?

Pan: Nie, o Hamlecie.

Pani (ironicznie) Jak o żelaznym wilku. (na stronie) Jak te kartofle pachną! (Odchodzi w głąb).

Pan: A co w moim przeznaczeniu... ja mówię to do siebie... monologuję... Co w moim przeznaczeniu najprzykrzejszego, najokropniejszego, najboleśniejszego, że wszystkie moje damy, uratowane przeze mnie tak wielkim poświęceniem, nie wyszczególniały się ani młodością, ani powabami duszy ni ciała. Fatum! (Chce się położyć na ławie i znowu siada — opierając głowę na lokciach, na stronie) Zapaliłbym cygaro, ale stara dewotka będzie wrzeszczeć. Stara pewnie, bo nie bylibyśmy się wywrócili tak szkaradnie. Młoda nie schowałaby się w zakwefiony kapelusz, jak w kaptur kapucyński. Kapucyny przy najmniej nie kolą.

Pani (stając przy stole, p.k.m.) Już pan nie jesz?

Pan (zawsze nie patrząc na nią) Nie.

Pani: Dobre kartofle?

Pan: Dobre.

Pani: Można wziąć jeden?

Pan: Jeden, dwa, trzy i cztery, ile pani chcesz. (Podsuwa jej miskę i nóż). Nie zapraszałem pani na skromną wieczerzę, bo się bałem, prawdę mówiąc.

Pani: Czegóż się pan bałeś?

Pan: Bałem się, aby nie było z kartoflami, jak z łóżkiem. Sama nie chciałaś i mnie spać nie pozwoliłaś — a w tym razie nie mógłbym być posłusznym, bo byłem bardzo głodny.

Pani: Nie trzeba w niczym przesadzać, ale przesady w grzeczności z pańskiej strony obawiać się nie można. (Zdejmuje kapelusz i kładzie na zydellku. Pan, założywszy ręce na stole, spiera głowę jakby do spania — milczenie).

Pani: Nie ma grabek?

Pan: Nie ma.

Pani (zdejmuje rękawiczki i jeść zaczyna). W samej rzeczy, bardzo smaczne. (Milczenie).

Pani: Śpisz pan?

Pan: Nie.

Pani: Nie masz pan soli?

Pan: Nie mam.

Pani: Proszę pana...

Pan: Szukałem i nie ma. (Długie milczenie. Pani, zjadłszy, siada bierze kapelusz na kolana i grzebykiem uklada loki, zawsze trochę tyłem do śpiącego zwrócona).

Pani: Kiedyś przecie ta noc się skończyć musi. (p.k.m.) Pół życia, podróżować nocą nie będę pocztowym pojazdem, a zwłaszcza ze starym kawalerem. Ci ludzie nie mają najmniejszego wyobrażenia o grzeczności, o uprzejmości dla dam. (Po krótkim milcz.) Kazał pić z konewki! Teraz tylko co nie chrapnie — szkaradnie. (Milczenie). Śpisz pan?

Pan: Nie.

Pani (zawsze odwrócona) Proszę pana, która godzina?

Pan (z głośnym westchnieniem odpina paltot i dostaje zegarek) Pół do drugiej. (Spojrawszy na panią). A! a! (Zdejmuje czapkę i mówi do siebie półgłosem) I ja spałem, głupi!

Pani (układając loki). Która, proszę pana?

Pan: Pół do drugiej. (Zdejmuje paltot i na stronie). Ależ bo to coś bardzo ładnego... Dalibóg, bardzo ładnego... i ja głupiec, osioł, cymbał, ja spałem!

Pani (p.k.m.) Dalekoż jeszcze do dnia?

Pan: Zdaje mi się, że będzie parę godzin. (Ha stronie). Ależbo to ładna! Bodajem nigdy nie zasną!

Pani: O, dla Boga! jeszcze parę godzin.

Pan: Ale kapelusz, jak widzę, zawadza pani.

Pani: Bynajmniej.

Pan (zbiera gazety i nimi całą siłą szoruje stół, potem się zbliżając). Pozwolisz pani wziąć kapelusz i na stole położyć, stół zupełnie czysty.

Pani: Dziękuję. (Oddaje kapelusz i parska śmiechem).

Pan (spojrawszy po sobie) Cóż panią śmiesz?

Pani: Śmieję się, bo wystawiałam sobie pana nieco podstarzałym (Śmieje się).

Pan: Dlaczegoż pani myślałaś, że podstarzały?

Pani: No, bo młodzi są zwykle grzeczniejszymi.

Pan: Ależ, łaskawa pani, czymże ja zgrzeszyłem? Wydobylem panią, nie chwając się, z zatopionej karety — przyniosłem latarnię, kochaną latarnię, która nam dozwoliła poznać się wzajemnie... bodaj się nigdy nie stłukła. Babę, nim jeszcze tu przyszedłem, wołałem, krzyczałem hop! hop! Ale przestraszona pewnie niespodziewaną naszą wizytą, znikła, jak kamfora — cóż miałem robić? Pod parasolem, ani też w zatopionej karecie nocować nie mogłem... racz to pani uwzględnić. Ognia nie rozpałiłem, ale, Bóg widzi, dmuchałem co siły, najserdeczniej... ale teraz zapalę chatkę, jeśli pani każesz.

Pani: Co za myśl!

Pan: Podalem pani konewkę... ale, prawda, przypominam sobie, mam w torebce flaszkę z winem i kubek.

Pani: Dziękuję panu, proszę tylko podać w kubku trochę wody.

Pan: Ale kto tam wie, jaka ta woda — wolisz się pani napić kilka kropel wina — wino prędzej pragnienie ugasi. (Pani pije

trochę). Jakże się cieszę, że pani usłużyć mogłem. Jeszcze troszkę — nie zaszkodzi, na honor, nie zaszkodzi. Teraz muszę pani powiedzieć otwarcie, że istotnym powodem katastrofy jest nie moja niegrzeczność, ale jej kapelus.

Pani: Pan masz do niego urazę, że ukłuł.

Pan: Bynajmniej — owszem, będę miał pamiątkę — ale pani skryłaś się w zakwefiony kapelusz, myślałem więc, że to nowy koncept mojego fatum. Powinienem był wprawdzie poznać młody dźwięk głosu... ależ łaskawa pani, oparzony na zimne dmucha. Gdybym był, siadając do pojazdu, zobaczył twarz pani, nie byłbym spał pewnie, byłbym budził, szturkał, pilnował pocztyliona i nie byłoby nastąpiło nieprzyjemne wprawdzie zdarzenie, ale któremu ja teraz już złorzeczyć nie mogę. A teraz, przy podanej sposobności, trzeba, abyśmy się trochę lepiej poznali. *(Ogląda się za stolkiem, nareszcie, nie widząc, znajduje jakąś małą paczkę i wysypuje trochę kartofli, które po całej izdebce się rozsypują z halasem).*

Pani: Co to jest?

Pan: Grzmoty. *(Siada przy pani na paczce).* Ja piszę czasem komedie, mam więc zwyczaj zaczynać od wymieniania osób, że zaś nie ma parteru, do pani zwracam mowę. Nazywam się Władysław Poraj. Mam w niewielkiej majątności niewielki domek, z jednej strony duże lipy, z drugiej łączka, a za łączką rzeczek.

Pani: To tam bardzo ładnie być musi. Lipy, łączka, rzeczka... a kwiaty są?

Pan: Domek jak w jednym bukiccie.

Pani: Ślicznie! Jakże tam panu dobrze być musi!

Pan: Nie skarżę się, ale jednak czegoś mi brakuje: jestem sam zawsze.

Pani: Nie masz pan sąsiadów?

Pan: Mam, ale zawsze u mnie bawić nie mogą, a jak odjadą — pustka.

Pani: No, kiedy samotność przykra, powiedziałabym, zrób pan tak, jak wszyscy robią w tym razie: ożeń się. Ale słyszałam, że pan kobiet nienawidzisz.

Pan: O! o! nienawidzę... bardzo proszę!... nienawidzę!... tego nigdy nie powiedziałem — powiedziałem tylko, że tych dam, co mnie piekły, co mnie topiły, co mnie kaleczyły, kochać nie mogę; ale ja, na honor, pleć piękną szanuję i uwielbiam, a zwłaszcza są powaby, które mnie za serce chwycą, nim się jeszcze postrzec mogłem.

Pani: I wiele to razy było, że się pan jeszcze postrzec nie mogłeś?

Pan: Raz tylko.

Pani: A!

Pan: Bo ja mam w ocenieniu piękności pewne zasady, od których zboczyć nie mogę, których trzymać się muszę. Na przykład w zachwycenie wprowadza mnie włos jasny, a oko czarne — usteczka, co by się chętnie śmiały, a zawsze śmiać się boją — nosek... o mój Boże!... a uszko malutkie, malutenkie... aż dreszcz przechodzi.

Pani (wstając): Odwdzięczając się panu, muszę i o sobie coś powiedzieć. Nazywam się Jadwiga...

Pan: Jadwiga! a ja Władysław: co za szczęście!

Pani: Nazywam się Jadwiga Moniecka, jestem córką pułkownika, o którym pan zapewne słyszałeś.

Pan: Tak dalece... ale pewnie będę słyszał.

Pani: Jadę teraz do Lwowa i moja przyjaciółka doniosła mi, że może mnie umieścić przy młodych panienkach w bardzo szanownym domu i że...

Pan: Przepraszam, że przerywam. Ja powiedziałem w mojej biografii, że nie mam żony. Pani rzekłaś: zgadłam — nie wiem, dlaczego pani zgadłaś, ale ja nie zgaduję i chciałbym wiedzieć, czy jesteś jeszcze wolną, czy nie masz mężulka albo jakiego niegodziwego narzeczonego.

Pani: Ani jednego, ani drugiego.

Pan: To dobrze, jesteś jeszcze wolną; bardzo dobrze, ja wolność lubię. A teraz słucham dalej.

Pani: Powiadam więc, że mam nadzieję być umieszczoną jako guwernantka.

Pan: Ach, panno Jadwigo, jakże wiele i mnie nauczyć by się trzeba! Ja uczyłbym się jeszcze chętnie — mam ochotę uczyć się ogromnie.

Pani: Kształcić się zawsze czas — nigdy za późno.

Pan: Wiele i w moim charakterze byłoby do sprostowania. O! bardzo wiele! Potrzeba by mi dobrej rady, rozumnej rady... ładnej rady.

Pani: Łatwo sprostować, znając swoje wady.

Pan: Poddałbym się chętnie pod dozorcą nauczycielską opiekę.

Pani: Jeżeli tak sobie pan życzysz, mogłabym mu w tym być pomocną.

Pan: Bardzo, bardzo proszę, moja panno Jadwigo.

Pani: Jest w domu mojej siostry staruszek bardzo świątliwy i szanowny, l'Abbé Barot, ten dla pana Władysława byłby towarzyszem...

Pan: O, dla Boga! Stary Abbe! mnie nie Abbego potrzeba, ja potrzebowałbym młodej, przyjemnej, łagodnej opieki, ja byłbym tak wdzięcznym, tak potulnym...

Pani: Panie Władysławie, świeczka się dopala.

Pan: Prawda, dopala się. Ja byłbym tak potulny, tak posłuszny, tak bym mocno kochał moją opiekę. Opieka miałaby domek w kwiatkach, a w domku serce kochające. *(Bierze ją za rękę).*

Pani: Panie Władysławie, świeczka gaśnie.

Pan: Prawda, gaśnie. Panno Jadwigo, chcesz być guwernantką, bądźże moją.

Pani: *(odsuwając się).* Panie, jakże to mam rozumieć?

Pan: Ach! jakże to ładnie będzie, jak z ambony spadną Władysław i Jadwiga razem. *(Caluje ją w rękę).* Prawda, że by to ładnie było?

Pani: W samej rzeczy byłoby ładnie.

Pan: O, moja najpoważniejsza panno Jadwigo! *(Caluje ją w rękę).*

Pani: Panie Władysławie, świeczka zgasła.

Pan: Prawda, zgasła. *(Słychać uderzenie w trąbkę pocztarską i turkot powozu; światło przez okienko, coraz mocniejsze, oświeca nareszcie całą izdebkę).* A bodaj ci trąbito.

Pani: Co to jest?

Pan: Nasza poczta.

Pani: Już?... Wybiegnijmy prędko, aby nie widzieli...

Pan: *(kończąc sens).* Że świeczka zgasła. Inną zapalimy, co świecić będzie nad miłością naszą, a ta...

Pani: *(podając mu rękę).* Nigdy nie zgaśnie. *(Wybiegają).*

ALEKSANDER FREDRO

Z JAKIM SIĘ WDAJESZ, TAKIM SIĘ STAJESZ

(PRZYSŁOWIE)

O s o b y :

Michał Dobrost, sąsiedzi.
Józef, jego brat,
Mateusz Zgaga,
Barbara, żona Michała.
Marta, jej siostra, żona Józefa.
Justysia, służąca.

Rzecz dzieje się w małym miasteczku, w domu Michała.

(Teatr przedstawia duży pokój. Drzwi środkowe i boczne. Przy środkowych po obu stronach duże szafy. Po lewej stronie od aktorów okno. Na środku duży stół kilimkiem przykryty).

S c e n a I.

Barbara, Marta, Justysia.

(Barbara i Marta siedzą przy stole i szycją przez okulary. Justysia sprząta).

Barbara: Ja ci powiadam, siostrzo, że się serdecznie zaczynam turbować. Nasi mężowie od niejakiego czasu jakby nie ci sami.

Marta: Ach, i ja to uważałam.

Barbara: Mój Michalisko coś mi sposępniał, posmutniał. Już dawno nie śpiewał swojej ulubionej piosneczki: „Chału-peczka niska, ojciec matkę ścisła”.

Marta: Mój Józef skrycie łyzy ociera.

Barbara: Pocziwie też to to moje mężysko — złote serce.

Marta: A mójże?! Za królika nie ma złości.

Barbara: Jak się tam trochę potarkocze i nie bez tego, aby się czasem nie potarkotało... nie byłoby ładu w domu.

Marta: Pozasypialiby wszyscy.

Barbara: To mój Michał bywało mruknie tylko: „Daj Boże szczęście” — i pójdzie sobie, zacisnąwszy czapkę na uszy.

Marta: A mój nieborak z głową się nakryje i niby śpi.

Barbara: A teraz pochmurny łązi jeden za drugim. — Cóż to im się stało?!... Co to być może?

(Justysia stając między nimi).

Justysia: Ot za pozwoleniem, ja paniom powiem.

Barbara: *(kładąc robotę).* Ty, Justysiu? ty miałabyś wie-dzieć?

Justysia: Wiem, wiem, i to bardzo dobrze.

Marta: No to powiedz.

Justysia: Wasi panowie mężowie są... zazdrośni.

(Barbara i Marta zdejmują okulary i śmieją się serdecznie).

Nie śmiecie się, panie, bo ja wiem, co wiem.

Barbara: Ależ głupia dziewczyno, tobie w głowie miłości, zazdrostki, ale nam, moje dziecię, już nie po temu. Spójrzaj na mnie i na siostrę, czy to o takie żony mężowie zazdrośni?

Marta: I nasi mężowie jeszcze wtenczas, kiedyśmy były młode, nie znali zazdrości, bo nam ufali. Trzydzieści lat Barbara, a ja dwadzieścia dziewięć, żyłyśmy z naszymi mężami jak synogarliczki — a teraz... nie, nie, to być nie może.

Barbara: Dobrze mówi Marta, jak synogarliczki. I nieraz ksiądz proboszcz dał się z tym słyszeć, że takich małżonków jak Dobrostów i w Paryżu poszukać. — Bajka więc, Justysiu, wierutna bajka.

Justysia: Ja wiem, że obaj panowie bracia są dobrymi mężami, ale na nieszczęście mają sąsiada, pana Mateusza Zgagę. Ten to istny puchacz, co się po nocach wałęsa, w każdy kąt, w każdą dziurę zagłada — co już trzecią żonę zamęcza... ten, ten waszych panów buntuje. Proszę tylko posłuchać, co on na wszystkie żony wygaduje.

Marta: Jakże ty wiesz?

Justysia: Słucham nieraz pod drzwiami.

Marta: A fe!

Justysia: Jakże inaczej dowiedzieć się, czego się nie wie? Spróbujcie, panie, raz jeden podsłuchajcie, a przekonacie się, dlaczego wasi panowie mężowie nie tacy, jacy dotąd byli.

Marta: Ja tego nie chcę. Zmyję tego głowę Józefowi i kwita.

Barbara: Ale czekajno, czekaj, tak dalej być nie może... nic jeszcze nie mów Józefowi i spuść się na mnie. Justysia może przesadza — sama przekonać się muszę.

Marta: Jak chcesz, ja się do tego mieszać nie będę.

(Michał i Józef wchodzi — śmiech kobiet — zadziwienie mężów).

Barbara: Cóż wam się tak czupryny najeżyły? W starych piecach diabeł pali, co?

(Kobiety, śmiejąc się, odchodzą).

S c e n a II.

Michał, Józef.

Michał: *(po długim milczeniu).* Śmieją się.

Józef: Śmieją się.

Michał: Ale z czego się śmieją?

Józef: Lepiej, jak gdyby płakały.

Michał: Co powie Mateusz?

Józef: Ech, ten Mateusz! tylko bredzi i bredzi.

Michał: Ha! Dajno pokój, to człowiek światowy — warto go posłuchać.

Józef: No, prawda, światowy — ależ i pan brat byłeś w Ołomuńcu dwa razy.

(Słychać za sceną głos Justysi: Hu! hu!)

Scena III.

Michał, Józef, Mateusz.

Mateusz: *(tylem wchodzi i grożąc mówi za sceną).* Poczekaj! dam ja ci kiedyś. Poczekaj. *(Zbliżając się do siedzących).* Ladaco dziewczyna ta wasza Justysia.

Michał: Cóż ci zrobiła, panie Mateuszu?

Mateusz: Alboż to jedno! Ile razy mnie zobaczy, udaje pu-chacza, krzyczy: hu! hu! Ladaco dziewczyna. — Kobietom nie podoba się, kiedy kto w dzień i w nocy ma na nich oko otwar-te... nawet zdaje mi się, że to ona ze strychu raz na mnie chlupnęła... i nie wiem, czy wodą, czy nie wodą... No, ale jej kiedyś odplacę.

Józef: Ot, swawolne; zwyczajnie jak młode.

Mateusz: Młode, stare, nic nie warte.

Michał: Ależ, ależ — dajno pokój.

(Mateusz siada przy stole między dwoma — do sceny obrócony).

Mateusz: Wszystkie nic nie warte. Ja mam trzecią żonę i wiem, co się u mnie działo, wiem, co się dzieje na świecie — nie z jednego pieca chleb jadłem. O! małżeństwo to przekleństwo!

Józef i Michał: O! o! panie sąsiedzie.

Mateusz: Plaga boska, ja wam powiadam, przekonacie się kiedyś. Mam trzecią żonę i każda... No!...

Michał: Zawsze ci się coś przywiduje.

Mateusz: Tak! przywiduje!... Moja pierwsza żona Elżbieta...

Michał: Była poczciwa.

Józef: I ładna.

Mateusz: Prawda, ładna i młoda — nie ma się też co i dzi-wić, że bryknęła...

Michał: A fe, co ty mówisz!

Mateusz: Wiem, co mówię. Dlatego przy zawieraniu powtór-nych ślubów strzegłem się piękności. Wziąłem Katarzynę — zezowatą i z brodawką na nosie.

Józef: Ale przez to była dobrą żoną.

Mateusz: Mnie się o to pytać. Za przykładem pierwszej po-izła druga.

Michał: Ale gdzie dowód! gdzie dowód?

Mateusz: Gdzie dowód! Zaraz, zaraz — ale pierwej powiem, że jak przyszło wybierać trzecią żonę, bo mi do gospodarstwa była potrzebną, wyszukałem sobie wdowę... już dobrze dościg-łą... ba, może nawet i zanadto — co zaś do jej powierzchow-ności... nic nie powiem, znacie ją.

Michał: No, o jej piękności mało da się powiedzieć, to prawda.

Mateusz: Wielka prawda. Myślałem więc, że z tych wzglę-dów mogą być spokojny — bajka!

Michał: I pierwsza i druga i trzecia — wszystkie twoje żony uczciwe niewiasty, ale tobie zawsze coś się przywiduje, bo nigdy przecie nic złego nie widziałeś.

Mateusz: Alboż to trzeba widzieć koniecznie, aby się prze-konać, że nam żona figla płata?

Józef: A jakże inaczej?

Mateusz: To ja wam zaraz powiem, bo bywałem w świecie — napatrzyłem się i nasłuchałem nie mało.

Michał: Chcielibyśmy to słyszeć.

Mateusz: Słuchajcie. Jak tylko żona powiększa umizgów... źle. Jak dom przysztraja... źle. Jak dla ciebie haftuje jakie nie-spodzianki... źle. Jak cię karmić zaczyna łakociami... najgorzej. A przy tym jest zaraz w domu jakiś obcy zapach, czyli raczej

odor... coś, czego nazwać ani uchwycić nie można — wtenczas, wtenczas bądźcie pewni, że się w stadle małżeńskim dzieje coś złego... i tylko o to już idzie, aby się naocznie prze-konać.

Michał: I w tym sęk właśnie, któregoś nigdy nie skruszył.

Mateusz: Bo mi czasu zabrakło, ale pewnośc była. Tak na przykład z pierwszą moją żoną, Elżbietą...

Józef: Niech Bóg świeci nad jej duszą.

Mateusz: Ha! — zapewne. Ale to tak się stało. W siódmym miesiącu po ślubie uczulem jakiś odor rozszerzający się po ca-łym domu... niby skóry, palonego rzemienia, jucht... nie mog-łem dociec, co by to być mogło. Aż razu jednego idąc wzdłuż ratusza, zaleciał mnie podobny odor... obracam się, za mną dwóch dragonów! — mam!...

Michał: Cóż masz?

Mateusz: Przekonanie, że dragon uczęszcza w moim domu.

Józef: Aleś go nie zobaczył.

Mateusz: Ba! żebym był zobaczył.

Józef: Cóż by było?

Mateusz: Byłbym widział.

Michał: A więc dowodu nie miałeś.

Mateusz: Miałem przekonanie. Wy mi wiercie, bo ja znam świat i kobiety. — Druga moja żona, Katarzyna, w pewnym czasie...

Michał: W siódmym miesiącu?

Mateusz: Żebyś o tym wiedział, zawsze w siódmym miesiącu objawiają się pierwsze oznaki. — Otóż moja Katarzyna zaczęła mię nagle nadzwyczajnie karesować... to mnie brała za ucho... to mnie za nos ciągnęła... O! źle... dreszcz mię przesła... przy tym ciągle wybiegała do cioci... każda ma ciocię, to niezawodnie... ale ile razy wróciła od cioci, tyle razy czuć ją było tytoniem.

Józef: To dowodziło, że ktoś u cioci tytoń palił.

Mateusz: Ale kto? to pytanie.

Józef: Mogłeś zobaczyć.

Mateusz: Nie chciałem spłoszyć.

Michał: I cóż?

Mateusz: No cóż? — umarła.

Józef: Biedna kobieta.

Mateusz: A teraz z moją grubą Anną jeszcze i siódmy mie-siąc nie minął... trzask!... firanki zawiesza, kwiateczki zasada, przysmaczki przyprawia... to jakieś bigosiki, to jakieś nadzie-wanki. We czwartek dała mi kluseczki z grzybową podlewą... ja to bardzo lubię... jadłem jak wilk... małym się nie udawiał... jadłem w złości, bo wiedziałem, czym to pachnie... nie grzyb-kami... szkoda mówić...

Michał: Z tego więc wnosisz?

Mateusz: Nie wnoszę, ale wiem. Jestem na tropie.

Michał: A ba!

Mateusz: Ten pędziwicher Fikalski żonę mi bałamuci.

Michał: Fikalski!... — Ależ bój się Boga, Mateuszu — wszak mówileś i przeczyć nie można, że twoja Anna więcej jak niemłoda i nigdy podobno nie była nad miarę powabną.

Mateusz: Ha! co to znaczy — stary żołnierz to odważny.

Józef: To być nie może.

Mateusz: To niezawodnie. Ale o mnie niech mowy nie bę-dzie, wczoraj zaszło coś dla was ważniejszego.

Józef i Michał: Dla nas?

Mateusz: Słuchajcie. Koło dziesiątej noc była dość jasna... szedłem moją ścieżką przez sad, wiecie... a wtem z tyłu mię napada...

Michał: Kto?

Mateusz: Ha! żebym wiedział?

Michał: Mogłeś przecie zobaczyć.

Mateusz: Jak miałem zobaczyć?!... W plecach oczów nie mam... i szczęście, bo byłby mi je wybił do szczętu.

Józef: I domyślasz się, że to Fikalski?

Mateusz: Nie, nie Fikalski, bo Fikalski mańkut, a to szło z góry na dół, od prawego do lewego. Ledwie dopadł domu... i aż za drzwiami mogłem się zapytać: „Kto tam?”

Michał: Przykre zdarzenie.

Mateusz: Komu to mówisz? Ale rano poszedłem na miejsce, gdzie się to stało... bo to zawsze miło przekonać się na miejscu — wtem, patrzę... i podnoszę... O!

(Dostaje z kieszeni kawałek przetrąconej laski).

Michał: Kawałek przetrąconej laski...

(Podaje Józefowi).

Józef: Hm, jakies twarde drzewo.

Mateusz: Ja wiem, że twarde.

Michał: Żalujemy cię bardzo, ale cóż to się nas może tyczyć?

Mateusz: Bardzo wiele. Ponieważ bowiem to nie był Fikalski, więc był jakiś inny gach, co się wkradłał lub wykradał z jednego z waszych domów.

Michał i Józef: O! O! O! Co ty mówisz?

Mateusz: Mam niemylnie przekonanie.

Michał: Moja Barbara jak złoto.

Józef: A mojaż Marta!

Michał: Naszych żon posądzac nie można.

Mateusz: Nie posądzam i plotek nie chcę robić. Ale jako dobry sąsiad i jako człowiek, który bywał w świecie, powiadam wam: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże”... do czasu, notabene. Szukajcie a znajdziecie... gdzie, jak, co? — nie wiem, bo plotek nie lubię... ale ja mam przekonanie. Pomóżcie mi tylko odkryć właściciela tej niefortunnej laski... patrzcie zawsze na cieńsze końce, czy nie brak kawałka.

Michał: Ot wszystko baśnie.

Józef: I to baśnie niegodziwe. My ufamy naszym żonom.

Mateusz: A ja wam powiadam, że wszystkie na jedno ko-pyto. Szukajcie, a znajdziecie. Skończyłem.

(Odchodzi).

Scena IV.

Michał, Józef.

(Michał chodzi wzdłuż i w szerz; Józef dobywa chustki i lzy ociera).

Michał: Józefie!

Józef: Panie bracie!

Michał: Moja Barbara uczciwa białogłowa.

Józef: *(ocierając lzy).* A mojaż Marta?

Michał: *(zawsze chodząc — p. k. m.).* Zapach... odor... co za wymysły — łakocie... jakie łakocie? — No, w środę była wprawdzie gęś...

Józef: A tłusta?

Michał: Ale co to ma znaczyć? *(p. k. m.).* Czasem za wąsy mię pociągnie.

Józef: Cóż to dowodzi?

Michał: Podług Mateusza dowodziłoby pochlebstwa, umizgi, karesanty.

Józef: No toć nie bez tego, abys i pan brat swojej Basi nie klapnął, ba, i nie uszczypnął czasami.

Michał: Prawda, prawda, bo też to i pocziwe kobiecisko.

Józef: A mojaż Marta?

Michał: *(p. k. m.).* A jednak ten przekłety Mateusz... i wiesz, Józefie, że miałem kaduczną ochotę tałapnąć go za te jego słowa.

Józef: Nie byłbym go bronil.

Michał: A jednak zabił ćwiek w głowę.

Józef: Ha! zabił, panie bracie. — Ale co tam myśleć o tym. *(Ociera lzy).*

Michał: Jak nie myśleć?!

Scena V.

Ciż sami i Barbara.

Barbara: *(wesolo, biorąc męża za wąsy).* Cóż wy tam mądrego radzicie?

Michał: *(cofając się).* Józefie!

Barbara: *(do Józefa).* Marta poszła do cici, może się trochę spóźni, nie bądź więc niespokojny.

Józef: *(ocierając lzy).* Panie bracie!

Barbara: Abyście zawsze ładni byli, aby was zawsze żony kochały — patrz, Michasiu, kupiłam ci chusteczkę.

Michał: Żono!

Barbara: Nie dziękujesz mi?

Michał: *(pokrząkując).* Dziękuję, dziękuję... Józefie!

Barbara: A dla ciebie, Józefie, Marta kupiła kamizeleczkę w kratki.

Józef: Kamizeleczkę w kratki? Panie bracie!

Barbara: Cieszysz się?

Józef: Bardzo się cieszę *(ociera lzy).*

Barbara: Ale, ale... dobrą nowinę wam przynoszę — trafił mi się niedrogi i kupiłam karpia. Jutro będziecie mieli na obiad... z rodzynkami i piernikiem — co?

Michał: Barbaro!

Józef: *(ocierając lzy).* Piernikiem.

Barbara: I braterstwo z wami obiadować będzie.

Józef: Dziękuję, ale służyć nie mogę.

Barbara: Marta wprawdzie chciała ci zrobić niespodziankę i dać ci ulubione pierożki z powidłami z pieca.

Józef: Panie bracie!

Barbara: Ale Marta powiedziała, że tu swój półmisk jutro przyniesie.

Józef: Marta powiedziała?

Barbara: Więc będziecie.

Józef: Będziemy. (*Ocierając lzy na stronie*). Z powidlami.

Barbara: A teraz bądźcie mi zdrowi: muszę wyjść z domu. A bądźcie dobrej myśli, nie patrzcie jak sowy.

(*Poglaskala męża i śmiejąc się wyszła*).

S c e n a VI.

Michał, Józef.

Michał: (*p. k. m.*). Józefie!

Józef: Panie bracie!

Michał: Żle.

Józef: Jakoś to będzie.

Michał: Ja ci powiadam — źle. (*p. k. m.*). Józefie, ty wiesz, że ja jestem dobrym, łagodnym człowiekiem, nikomu krzywdy nie zrobiłem i nie chcę zrobić — ale jak mnie kto dotknie boleśnie, jak mnie kto rozdrażni, w potrzebie stanę się lwem.

Józef: O dla Boga!

Michał: Centkowanym tygrysem.

Józef: O dla Boga!

Michał: Rozjuszonym niedźwiedziem... będę łamał, walił, poszarpię w drobne kawałki.

Józef: Panie bracie, mityguj się.

Michał: Bez pardonu. Zemsty, zemsty, zemsty!... Chodź, zobaczmy jałownik.

S c e n a VII.

Barbara, Justysia.

Justysia: A co? nie mówiłam?

Barbara: Ależ to nie zazdrość, to jakiś zawrót głowy, to istne szaleństwo. O ty przeklęty Zgago! O tym nam pomyśleć trzeba, tego oddalić, tego się pozbyć.

Justysia: Będę się starała i jeżeli jejmość pozwolił, ja mu przy sposobności łapkę zastawię.

Barbara: Mądra to żmija.

Justysia: Spróbuję. (*Patrząc przez okno*). Otóż właśnie idzie. Skrada się... ogląda się... przegląda jak złodziej.

Barbara: Cóż ty chcesz zrobić?

Justysia: Proszę tylko odejść, a pod drzwiami słuchać.

Barbara: Niech i tak będzie, ale ostrożnie, bo to szczwany lis, hultaj, żmija, wąż, padalec.

(*Barbara odchodzi*)

S c e n a VIII.

Justysia, Mateusz.

(*Wchodzi, jakby się wkradał — Justysia udając, że go nie widzi, niby płacze*).

Justysia: O Fikalski!... niepoczciwy Fikalski!... lekkomyślny Fikalski!... ale ci to płazem nie ujdzie, zemścisz się na tobie

i na tej niegodziwej babie. (*Niby go spostrzegłszy*). Czego tu pan chcesz?

Mateusz: Gdzieś tu zostawiłem kawałek laski.

Justysia: To sobie pan poszukaj.

Mateusz: A czegoż ty płaczesz?

Justysia: Co panu do tego?

Mateusz: Cóż ci zrobił Fikalski?

Justysia: Fikalski jest hultaj, zdrajca, pędziwicher.

Mateusz: Prawda, prawda — ale cóż on zrobił?

Justysia: Co pan dziś taki ciekawy? Wolałbyś zwrócić swoją ciekawość do swego domu, do swojej żony... do swojej pięknej, miłej, tłusciuchnej, podpróchniałej Anusieńki. Pójdę do niej, potłukę jej wszystkie garnki.

Mateusz: Ale to moje garnki.

Justysia: Tym lepiej. Ja chcę hałasu. Niech się całe miasto dowie, że pańska żona zbałamuciła narzeczonego biednej dziewczyny. (*Placząc*). Fikalski zdrajca... Fikalski obiecał zenić się ze mną... i pan to cierpisz, pan nie masz wstydu, pan nie masz odwagi za drzwi wytrącić nieproszonego gościa, umizgusa żony?!

Mateusz: Ależ ja nic nie wiem.

Justysia: Ale ja wiem, bom ze szafy widziałam.

Mateusz: Ze szafy?

Justysia: Nie ze szafy. Co pan podchwytujesz moje słowa! Ale widziałam i słyszałam i kontenta jestem, że się tak dzieje, bo ja Fikalskiego i pana nienawidzę.

Mateusz: No, no, no.

Justysia: Bo pan jesteście puchaczem.

Mateusz: No, no, no.

Justysia: Cieszę się, że pan Fikalski u pana Mateusza gospodaruje, jakby u siebie. Cieszę się, cieszę się... (*Szlocha*).

Mateusz: A więc widziałas?

Justysia: Widziałam i słyszałam, że się kochają. O, Fikalsio mądry, ale i ja nie głupia! Kiedy moja pani szła na poobiednią drzemkę, a jegomość na swoją lampkę wina, wtenczas Fikalski przychodził, niby dla mnie, bo mówił, że się chce zenić, ale zaraz drugimi drzwiami wchodziła i miła, luba, twoja Anusieczka — pomiarkowałam więc wkrótce, o co idzie, i przekonałam się. Niech się nie żeni, mniejsza z tym, ale zemścić się muszę.

Mateusz: Zemścić się można, ale jak?

Justysia: Proszę mię nauczyć.

Mateusz: Ja wprowadzicie nic nie wiem.

Justysia: No to idź pan sobie z Bogiem.

Mateusz: Gdybym mógł widzieć...

Justysia: Patrz, a będziesz widział.

Mateusz: Kiedyż się schodzą?

Justysia: Nie wiem.

Mateusz: Rano?

Justysia: Nie rano.

Mateusz: Po południu?

Justysia: (*Patrząc w okno*). Idź, idź pan.

Mateusz: Gdybym mógł się schować.

Justysia: Jeszcze czego...

Mateusz: W tym pokoju?

Justysia: Jegomość zamknął.

Mateusz: A w tym?

Justysia: Alkierz jejmości. Idź pan, idź... nie mam czasu.
Mateusz: Gdybyś chciała...
Justysia: Nie chcę.
Mateusz: W szafie? co? Ja bym ci obiecał...
Justysia: Obiecanka, cacanka.
Mateusz: Na masz.
Justysia: Mało. (*Bierze więcej*). Ale pan nie myśl, że ja to przyjmuję przez chciwość pieniędzy.
Mateusz: Dobrze, dobrze. Więc to godzina zejścia?
Justysia: (*Patrząc w okno*). Oto Fikalski — idź pan, idź.
Mateusz: Jakto idź?
Justysia: Czegoż pan chcesz?
Mateusz: W szafie — co?
Justysia: Niech i tak będzie, ale prędko.
Mateusz: A są tam szpary?
Justysia: Są, są. No! W szafę, albo za drzwi.

(*Zamyka Mateusza w szafie na klucz i odchodzi*).

S c e n a IX.

Michał, Józef, później Mateusz.

(*Michał wnosi ostrożnie wazonik z kwiatem i stawia na stole*).

Michał: (*Oglądając się*). Józefie!
Józef: Panie bracie...
Michał: Co tu czuć?
Józef: Trochę dymu.
Michał: Cóż to ma znaczyć?
Józef: Dym.
Michał: (*p. k. m.*). Józefie, byłeś kiedy w teatrze we Lwowie?
Józef: Byłem.
Michał: Widziałeś piąty akt?
Józef: Widziałem i pierwszy i drugi i trzeci...
Michał: Ale „Piąty akt” na afiszu.
Józef: Komedia?
Michał: Diabła tam, komedia!
Józef: Nie rozumiem.
Michał: Ja ci powiem, jak to tam przedstawiono. Był to pan i pani, pani miała amanta...
Józef: A fe!
Michał: Nawet nie wiem dlaczego, bo mąż był przystojniejszy; ale któż zgadnie, co się kobietom podoba?
Józef: Różne gusta, i u mężczyzn czasem dziwić muszą. Ot, niedaleko szukać, gospodyni naszego...
Michał: Cicho, cicho — nie o tym mowa. Otóż ten pan, to jest mąż, poznał pismo nosem... zaprosił sobie gacha i rzekł: słuchaj! ja tu z tobą krótki chcę odbyć pojedynek.
Józef: To widzę nie były żarty.
Michał: Czekał-no. Pojedynek! — Oto rzekł mąż... straszonym głosem, aż mię dreszcz przeszła... oto rzekł, tu są dwie szklanki, jedna z winem, druga z trucizną. Wybieraj! Pij!

Józef: Czy oszalał?
Michał: Mnie w brzuchu zaczęło ćwikać.
Józef: Tamten, oczywiście, nie chciał.
Michał: Gdzie tam! Raz, dwa trzy. Chlust!
Józef: Wypił?
Michał: Jeden i drugi.
Józef: Matko wielkiego miłosierdzia! I cóż się stało?
Michał: Nie wiem. Bo mnie tak zmoczyło, taka mnie jakaś słabość opadła, żem wyszedł, nie mogąc dalej patrzeć. Ale dosyć widziałem, dosyć słyszałem, bo nauczyłem się, jak sobie należy w razie postąpić z takimi, co nam żony chcą bałamucić.
Józef: Panie bracie, to rzecz straszna.
Michał: Na wszelki wypadek chcę się przygotować — (*p. k. m. pokazując wazonik*). Patrz! to belladona się nazywa — trucizna!
Józef: Panie bracie.
Michał: Przed kilku dniami w pałacowej cieplarni ogrodnik pokazał mi to ziele, mówiąc: to trucizna. — Bylem więc u niego i kupiłem za reński dwadzieścia centów. Teraz do roboty; trzeba się przygotować. (*Bierze ze szafki, po lewej stronie drzwi stojącej, nóż duży i moździerz, kładzie na stole i przypasuje fartuch*).
Józef: Panie, panie bracie! (*Łzy ociera — Michał chwytając nóż, ostrzy i ścina liście ze wstrętem, jakby kurę zarzynął*).
Michał: Ha!
Józef: Ha! (*p. k. m.*). Ale dla kogoż, dla kogoż?
Michał: (*wrzucając liście do moździerza*). Poszukajcie, a pewnie znajdziecie; a jak się znajdzie — pij!... hultaju!
Józef: Bez przekonania winy?
Michał: Po co włązi nieproszony? Potrzymaj moździerz (*trąc w moździerzu*). Bez pardonu: ja nie Mateusz! (*trąc coraz mocniej*) Ja nie ucieknę. Ja nie pytam: kum czy swat? Pij! — Józefie, podaj mi teraz dwie szklanki i butelkę wody.
Józef: Łydki mi się trzęsą. (*Idzie do szafy, gdzie Mateusz zamknięty, powtarzając*.) Bez pardonu... bez pardonu... zamknięta.
Michał: Ależ to nie w tej szafie. Nie wiesz, gdzie szkło?
Józef: Świata nie widzę przed sobą. (*Michał nalewa wodę w moździerz, potem zlewa do jednej szklanki a drugą napelnia czystą wodą*).
Michał: (*odwiązując fartuch*). Teraz wszystko w porządku. — O! ja nie Mateusz!
Józef: Ale słuchajno, panie bracie. Jakby przyszło do rzeczy, czego Boże chroń, jakbyś chwycił takiego, którego byś posądzał...
Michał: Bez pardonu — pij!
Józef: Więc pojedynek?
Michał: Na śmierć.
Józef: I każesz mu wybierać?
Michał: Wybieraj i pij.
Józef: A jak on wybierze wodę, nie truciznę?
Michał: No, to mu leć rozwałę. (*Przez okno wpada klucz owinięty kartką*).
Józef: Co to jest?
Michał: Jakiś klucz zawinięty.
Józef: Coś napisano.

Michał: (czyta). Michale, Józefie, starzy mężowie glu... głupcy...

Józef: (czyta przez ramię). Głupcy.

Michał: (chrząkając, czyta dalej). Głupcy... szukacie, co macie pod nosem.

Józef: Pod nosem?

Michał: (czyta). Gach zamknięty w szafie. (Rozskakują się i w milczeniu wpatrują się w szafę).

Józef: Panie bracie, chodźmy stąd.

Michał: Zemsta! i to klucz zapewne.

Józef: Panie bracie, chodźmy stąd.

Michał: (otwierając szafę). Mateusz.

Józef: Mateusz!

Michał: Ty, tu! ty zwodzicielu! zdradco!

Mateusz: Zaraz, zaraz... ja chciałem złapać Fikalskiego.

Michał: W szafie?

Mateusz: Nie, ale Justysia, bo widzicie... tylko powoli...

Michał: Język ci się w trąbkę zwija.

Mateusz: Justysia mi powiedziała...

Michał: Justysia, z którą ty drzesz się nieustannie? Bez pardonu!

Mateusz: Ale posłuchaj przecie.

Michał: Ani słowa! Chodź tu! Józefie, nakryj szklanki fartuchem. To trucizna. Wybieraj. Pij!

Mateusz: Ale cóż to za szaleństwo! Uważaj, że małżonka twoja, panie Michale, jest już poważna matrona.

Michał: A twoja-że młodziuchna niewiasta?

Mateusz: I ja przecie nie fircyk.

Michał: A Fikalski — młokos? Pij!

Mateusz: Ale dajże mi przyjąć do słowa! Niegodziwa Justysia wszystko to zrobiła. Pozór cię myli, kochany panie Michale.

Michał: Ja mam przekonanie.

Mateusz: Niech Justysia powie, złoży ci dowody.

Michał: Na co dowody, ja mam pewność.

Mateusz: Ech, co tam gadać z wariatem! (Idzie ku drzwiom).

Michał: O! hola! hola! nie tędy ścieżka w groch. (Chwyta go za rękę i stawia przed stół).

Mateusz: Czegoż mię szarpiesz? Nie zabijesz mnie przecie.

Michał: Jak się uda...

Mateusz: Ależ, kochani moi sąsiedzi, wszakże żyliśmy zawsze w dobrej komitywie... (z czulością) wszakże wzrosliśmy razem... wszakże grywaliśmy z sobą w piłkę... pamiętacie — wszakże ślizgaliśmy się nieraz po zamarznętej kałuży — pamiętacie? I dlaczegoż, z jakiego powodu ta serdeczna nasza zgoda ma być przerwana?

Michał: Co było, a nie jest, to nie pisz w rejestr. Zdradziłeś mię, mam przekonanie, i kwita.

Mateusz: Ale ty Józefie, ty najrozsądniejszy człowieku w całym mieście, powiedz bratu, że się godzi...

Józef: Czekać, czekać, wszystko można załatwić zgodnym sposobem. Będzie wilk syty i owca cała. Pan brat zagnie-

wany, a pan Mateusz przewinił: niechże pan brat pana Mateusza trochę tam tego poturbuje, i będzie zgoda.

Mateusz: Piękna zgoda!

Michał: Bez pardonu: wypijesz, albo nie wypijesz?

Mateusz: Panie Michale, najszlachetniejszy sąsiedzie!

Michał: Wypijesz?

Mateusz: (p. k. m.). Nie.

Michał: Józefie, potrzymaj go, otwórz mu gębę.

Mateusz: Ależ to rozbój, to zabójstwo, to morderstwo!

Michał: Weź go.

Mateusz: Gwałtu! ratujcie! ratujcie!

S c e n a X i ostatnia.

Ciż sami, Barbara, Justysia.

Justysia: Hu! hu!

Mateusz: Pani Michałowa, ratuj mnie; jesteś w całej okolicy najszanowniejszą osobą... i ty, kochana Justysiu, powiedz, jak się to wszystko stało.

Barbara: Tak jest, Justysia powie, że zwabiła pana Mateusza, zwabiła, jak pierniczkiem, obiecanką, że go ukrytego w szafie zrobi świadkiem zmyślonej jakiejś schadzki pocziwej pani Mateuszowej ze starym Fikalskim. A nasz miły sąsiad dał się złapać jak tchórz... Ja zaś podsłuchałam waszą rozmowę i kazałam Justysi rzucić przez okno klucz z moją karteczką. Wszakże znacie moje pismo.

Michał: Ach, Basiu! Basiu! Ach, Józefie!

Józef: (placząc). Panie bracie, głupstwo się zrobiło.

Barbara: A teraz, panie sąsiedzie, ruszaj stąd czym prędzej, a jeżeli kiedy noga twoja stanie na obejściu naszym, ze mną będziesz miał do czynienia.

Justysia: I ze mną.

Mateusz: Gdybyście tylko mnie chcieli posłuchać...

Michał: Mamy dostateczne przekonanie.

Barbara: Precz!

Józef: (placząc). Mateuszu! (Mateusz zwraca się do drzwi) zapomniałeś twój kawałek laski.

Justysia: Hu! hu! (Mateusz wychodzi, grożąc jej pięścią).

Barbara: A wy stare, stare półgłówki, niedość że wam trzydziestoletniego dobrego pożycia z żonami, niedość jeszcze, abyście im zaufali statecznie?

Michał: Basiu, ja będę płakać.

Józef: Ja już płacę.

Barbara: Żyliście ze złym człowiekiem, i złemu człowiekowi daliście się obalać.

Michał: Bodaj przepadł!

Barbara: A pamiętajcie dawne przysłowie: „Z jakim się wdajesz, takim się stajesz”.

KURTYNA

WIADOMOŚCI

z życia świetlic — przegląd wydawnictw — różne

WIKTOR KWAST

MAJSTROWANIE

RZUTNIK FOTOGRAFICZNY

(2)

Zastanowiwszy się nieco nad podstawowymi zasadami budowy rzutnika w poprzednim numerze Poradnika, można się pokusić z kolei o własnoręczne jego wykonanie.

Zamierzeniem niniejszego artykułu jest udzielenie rady i wskazówki, jak się zabrać do pracy i czym się w niej kierować, aby cel osiągnąć. Niepodobniem jednak jest przewidzieć wszystkie możliwe przypadki i podać gotowe ich rozwiązania — powodzenie w robocie zależeć będzie od sprytu, zdrowego rozsądku i inteligencji budowniczego oraz umiejętności radzenia sobie z tworzywem. Podane niżej wymiary nie muszą być niewolniczo przestrzegane — służyć mają jako dane orientacyjne. Wszystko będzie uzależnione od posiadanych czy możliwych do zdobycia soczewek, kondensatorów, mieszka, puszek blaszanych i innych części składowych, przewidzianych na rzutnik. Tak krawiec kraje, jak mu materii staje.

Również opisany sposób rozwiązania budowy latarni czy innej części rzutnika nie musi być dokładnie naśladowany. Służyć ma raczej za przykład, za sposób, w jaki by można czytelnika naprowadzić na własny pomysł. W tym też celu rozważam wady i zalety zastosowanego rozwiązania, zachęcając do ulepszeń na własną rękę.

Opisany przeze mnie rzutnik fotograficzny jest w użyciu od kilku lat. Posłużył do zrobienia wielu bardzo dobrych powiększeń, chociaż arcydziełem nie jest i ma wiele wad zarówno w wykonaniu, jak i w zaplanowaniu. Odziedziczyłem go po przyjacielu, który, chociaż był zupełnie zadowolony z wyników uzyskanych przy pomocy tego pierwszego swego dzieła, zbudował sobie drugi lepszy.

Widać więc stąd, że rzutnik własnej roboty, chociaż daleki od doskonałości, może dobrze spełniać zadanie, aczkolwiek kosztem mniejszej wygody, większego wysiłku i dłuższego czasu pracy, niż przy użyciu aparatu fabrycznego, wyposażonego we wszystkie udoskonalenia. Niech to ułatwi decyzję tym, którzy się jeszcze boją i wahają, wąpiając w swe siły i możliwości.

LATARNIA

Franek zrobił swą latarnię z puszek blaszanych.

Za punkt wyjścia posłużyła bańka, z górną częścią schodząca się stożkowo ku górze. Odciął nożycami tę część, jakies pół cala poniżej spojenia jej z resztą bańki, oraz dno, również zostawiając przy nim z pół cala cylindra. Dostał w ten sposób jakby dwie pokrywki, górną i dolną. Pozbawiona ich środkowa część cylindra okazała się za krótka, nadsztukował więc ją innym cylindrem, wyciętym z puszek od konserw. Ten drugi cylinder miał średnicę odrobinę mniejszą, tak, że dał się wcisnąć szczelnie wewnątrz pierwszego, tworząc z nim całość. Zalutował Franek zachodzące na siebie brzegi dla większej mocy. Jeśli jednak kto nie ma lutownicy, czy nie umie lutować, może poprzez te zachodzące na siebie brzegi przewiercić trzy dziurki, przełożyć przez nie małe aluminiowe czy mosiężne nity i zanitować, rozklepując je młotkiem.

Z kolei dopasował te trzy składowe części, aby łatwo dawały się nasuwać na siebie i żeby przy tym stanowiły szczelne, nie przepuszczające światła pudełko. Wyrównał i opiłował ich brzegi i zrobił najpierw tak, że cylinder wchodził ciasno dolnym otworem w denko, jak w pokrywkę. Następnie powiększył nieco obwód górnego otworu cylindra, rozklepując ostrożnie jego brzeg na okrągłej części kowadła, aby można było weń wsunąć dolną część stożka. Jeszcze na szczycie stożka nalutował krążek blaszany, zamykający jego wylot, z otworem o średnicy 1 i jedna ósma cala na oprawkę żarówki.

Duża to wygoda mieć taką rozbierną latarnię, łatwo dostępną z zewnątrz i od środka.

Gdy kto dostanie puszkę czy bańki o średnicy cal większej, czy pół cala mniejszej — to, ma się rozumieć, może je użyć bez obawy. Albo gdy na przykład znalezienie czy zrobienie stożkowego czuba może się okazać zbyt trudne — zadowolili się można sufitem płaskim. Należy tu kierować się względami praktycznymi i zdrowym rozsądkiem.

Chłodzenie wnętrza jest konieczne, gdyż żarówka nagrzewa się do wysokiej temperatury, a z nią cała latarnia. W tym celu Franek wywiercił wianuszek otworków o średnicy jedna ósma cala, w odległości trzy ósme cala jeden od drugiego u góry stożkowej części latarni. Luźną pokrywką z puszek od konserw, z otworem w środku na przewód do żarówki i drugim wianuskiem otworków na boku, nakrył wierzch stożka i jego dziurki, aby się przez nie światło nie wydostawało na zewnątrz.

Również dla celów wentylacyjnych wywiercił po kilka otworków w dnie latarni i zasłonił je mostkami z blachy, nanitowanymi z zewnątrz.

Wyciął wreszcie w denku prostokątny otwór 4" x 2 i trzy czwarte cala, odpowiadający wymiarami kliszy (6 cm x 9 cm), z której robił powiększenia.

Rysunek 1 pokazuje u dołu przekrój latarni i pokrywki, oraz żarówkę z oprawką, a u góry — widok latarni od spodu. Widać na nim otworki wentylacyjne, jak również kształt osłaniających je mostków.

W powyższy sposób wykonana latarnia będzie źródłem światła rozproszonego, jeśli wycięty otwór w dnie zasłonić szkłem matowym, lub światła skupionego, a ściślej — mieszanego, jeśli umieścić nad nim jeden lub dwa kondensatory.

Zamiast szkła matowego można użyć przezroczystego papieru rysunkowego, po angielsku tracing paper. Widziałem fabrycznie wykonany rzutnik fotograficzny, mechanicznie całkiem niezłe zrobiony, w którym zamiast kondensatorów zastosowano matówkę, zrobioną z takiego tracing paper, umieszczonego pomiędzy dwiema płytkami szklanymi.

Kondensatory powinny być w pierścieniowej oprawce metalowej lub drewnianej, zabezpieczającej przed uszkodzeniem. W przypadku zespołu dwu kondensatorów — oprawione być winny wypukłymi stronami ku sobie. Średnica ich musi być taka,

aby pokrywały z pewnym zapasem otwór w dnie latarni, czyli aby była trochę większa niż przekątna kliszy.

Franek użył kondensatorów o średnicy 5". Dla mniejszych klisz — średnica ich może być mniejsza. Poniższa tabela podaje orientacyjne wymiary średnic kondensatorów, w zależności od najczęściej spotykanych wymiarów klisz.

Wymiar kliszy	Długość przekątnej kliszy	Średnica kondensatora	Długość ogniskowa soczewki
$4\frac{1}{4}" \times 3\frac{1}{4}" = 12 \text{ cm} \times 9 \text{ cm}$	$3\frac{3}{8}"$	$5\frac{3}{4}"$	5" do $6\frac{1}{2}"$
$3\frac{1}{2}" \times 2\frac{1}{2}" = 9 \text{ cm} \times 6 \text{ cm}$	$4\frac{1}{2}"$	5"	4" — 5"
$2\frac{1}{4}" \times 2\frac{1}{4}" = 6 \text{ cm} \times 6 \text{ cm}$	$3\frac{1}{4}"$	$3\frac{1}{2}"$	3" — 4"
4,5 cm x 6 cm	3"	$3\frac{1}{4}"$	3" — 4"
40 mm x 28 mm *)	2"	$2\frac{1}{4}"$	2" — 3"
24 mm x 36 mm **)	$1\frac{3}{4}"$	2"	$2\frac{1}{2}" - 2"$

Dane te odnoszą się do rzutników, w których klisza znajduje się nie dalej, niż pół cala od dolnej płaszczyzny kondensatora.

Ogromną zaletą kondensatorów jest to, że łatwiej przy nich o równomierne naświetlenie całej powierzchni kliszy.

Trudniej natomiast o to przy użyciu matówki. Trzeba wtedy starać się o jak największą wydajność świetlną latarni i o jak najlepsze rozproszanie światła, zanim jeszcze padnie na matówkę.

Opisana wyżej latarnia przy swej prostocie i względnej łatwości wykonania grzeszy pod tym względem poważnie, rzucając w środku kliszy więcej światła, niż przy brzegach. Dlatego to Franek pozbył się jej na mą korzyść, a zbudował inną, zdobywszy gdzieś coś na kształt dużego jaja z blachy. Światło umieszczonej wewnątrz takiego jaja żarówki, odbijane od zakrzywionych ścian, równiej się rozkładało na dnie latarni.

Ale i w przypadku niezbyt właściwego kształtu latarni można sobie poradzić. Można przede wszystkim pomalować jej wnętrze białą lub aluminiową farbą, zwiększając ilość odbitych promieni i rozproszenie światła. Jako źródła światła trzeba użyć żarówki opalowej, świecącej nie jako rozżarzony drucik, lecz jako cała kula.

Gdyby latarnia nie miała stożka w górnej części, lecz płaski sufit, wówczas na oprawce, nad żarówką, należałoby umocować reflektor, zrobiony z blachy w kształcie lejka, szerokim otworem skierowany ku dołowi. Reflektor wyciąć z blachy, jak na rys. 2, i zlutować czy znitować szew, wypróbawszy najpierw wymiary na modelu ze sztywnego papieru.

Następnym sposobem ujednostajnienia naświetlenia będzie zastąpienie najjaśniejszych miejsc żarówki. Można w tym celu nakleić krążek cynfolii na spodzie żarówki, na jej części najbliższej dna latarni, lub też nałożyć nań warstwę farby aluminiowej, najgrubiej w środku, rzadziej ku brzegom.

Gdyby mimo te wszystkie środki jeszcze nie można było uzyskać równomiernego naświetlenia kliszy, — wówczas nad jedną matówką trzeba umieścić drugą. Oczywiście straci się przy tym dużo światła, ale to można nadrobić, używając większej żarówki oraz dłużej naświetlając powiększenie.

Nie powinno się używać żarówki mniejszej niż 75 watów. Najlepsza będzie 100, lub może nawet 150-watowa, jeśli mamy dobre chłodzenie wnętrza latarni.

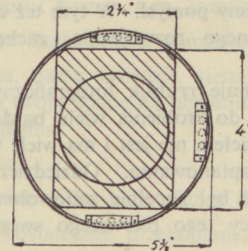
Przewód, doprowadzający prąd elektryczny do żarówki, powinien, po wyjściu z latarni, być podwieszony na słupku, aby nie zwisał na latarni i nie nagrzewał się od jej gorących ścian. Może być zakończony adapterem do lampy, wiszącej w pokoju nad stołem, względnie wtyczką dwu lub trzypalcową do gniazdka w ścianie, zależnie od tego, skąd zamierzamy pobierać energię elektryczną. Ze względów bezpieczeństwa najbardziej polecenia godna jest wtyczka trzypalcowa, mająca obok dwu przewodów prądowych, jeszcze trzeci, uziemiający, który winien być przyłączony do metalowej konstrukcji latarni. Z tych samych względów lepiej jest użyć bakelitowej oprawki do żarówki, niż metalowej. Wyłącznik najpraktyczniejszy chyba będzie wiszący na samym przewodzie, jak przy nocnej lampie, łatwy do znalezienia po ciemku.

ŚLYPEK I PODSTAWA

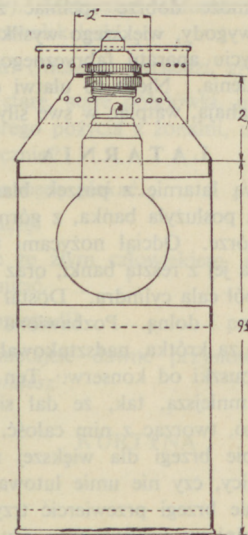
Śłupek do podwieszania wspornika, dźwigającego rzutnik, zrobił Franek z drzewa. Jest to beleczka z bukowego drzewa, dobrze wysuszonego, tak, że się nie paczy, dokładnie wyglądzona, o wymiarach 1" x 1" x 36". Mogłaby też nim być rura mosiężna lub stalowa, ale, że trudniej sobie poradzić z jej obróbką w domowych warunkach, słupek drewniany najbardziej chyba zasługuje na polecenie.

Dostać taki można, już obrobiony, w składzie drzewa, albo — jeszcze lepiej — w którymś „Wood Shop”. Namnożyło się tych sklepów sporo po wojnie. Sprzedają różnie kształtowane kawałki drzewa twardego, toczone nogi do krzesel, listwy na ramy gładkie i rzeźbione, klejki i t.d.

Rysunek 1



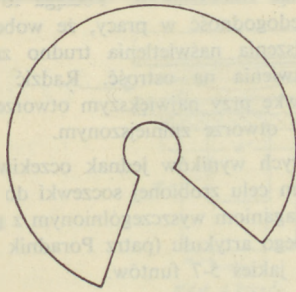
Widok od spodu



Przekrój latarni i żarówki z oprawką

*) Wymiar kliszy aparatu „Bantam” Kodaka.

***) Wymiar kliszy kinematograficznej.

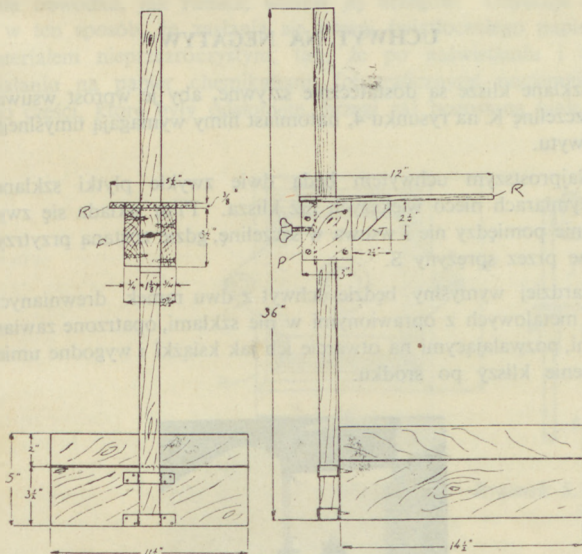


Rysunek 2.

Zwrócić trzeba wielką uwagę, aby słupek zmocować z podstawą idealnie pionowo. W przeciwnym bowiem razie nie uzyska się zupełnej równoległości płaszczyzny negatywu i soczewki z płaszczyzną podstawy, w wyniku czego w jednym końcu obraz wyjdzie ostry, a w drugim zamazany.

Podstawą może być gruba, ciężka deska klejonkowa, jakies 15'' na 20'', ja jednak woląłem zbić w tym celu płaskie pudełko z grubych na pół cala desek z pudełek od pomarańcz, z wiekiem na zawiasach. Umożliwiło mi to łatwe przymocowanie słupka dwoma skobelkami do boku dolnej części pudełka, wewnątrz którego przechowują materiały fotograficzne, negatywy i t.p.

Słupkę i podstawę z wymiarami, oraz sposób ich zamocowania pokazuje rys. 3.

Rysunek 3
Słupka, zamocowana do pudełka, i wspornik.

WSPORNIK I PROWADNICA

Rzutnik spoczywa na ramieniu wspornika i stanowi całość z prowadnicą, pozwalającą na jego przesuwanie i zamocowanie niżej lub wyżej na słupku.

Najpierw trzeba zrobić prowadnicę z czterech kawałków drzewa, pół cala grubych i o pozostałych wymiarach, jak pokazano na rys. 3.

Jeden z kawałków, tylny, trzeba przed połączeniem z pozostałymi przewiercić w środku wiertłem do metalu Nr 12. W otwór

ten wkręcić stalową lub mosiężną śrubę Nr OBA, długości 1,5'', z motylkową nakrętką, nalutowaną na moc, zamiast łba. Śruba z trudem, ale utoruje sobie drogę przez drzewo, nagwintowując je własnym gwintem. Aby ten gwint się nie wytarł z czasem, należy z drugiej strony wyciąć otwór na sześciokątą nakrętkę, o tym samym gwincie co śruba, tak tylko duży, aby nakrętka zaledwie weń weszła i nie sterczała ponad powierzchnią klocka. Dzięki temu nasza metalowa śruba będzie się wkręcała — poprzez drzewo — w metalową nakrętkę. Aby zaś koniec śruby nie robił dziur w słupku, trzeba między klockiem ze śrubą i słupkiem umieścić podkładkę z 1/16'' blachy stalowej czy mosiężnej, zagiętej u góry w rodzaju zaczepu. Sklejając i ześrubowując teraz te cztery kawałki drzewa z sobą, należy uwzględnić grubość owej podkładki, ażeby pozostawiony otwór pozwolił na swobodne, ale nie za luźne wsunięcie słupka.

Nie szczenić tu czasu i starania, aby robotę wykonać możliwie dokładnie. Suwak powinien wszystkimi ściankami przylegać ściśle do boków słupka, ale musi przy tym chodzić lekko po słupku, bez zacinania się, ani kolebania.

Wkręcanie śruby w tylną ściankę prowadnicy powoduje odpychanie metalowej podkładki od metalowej nakrętki w drzewie, a przez to nacisk podkładki na słupkę i zaciśnięcie na nim suwaka na dowolnym poziomie.

Drugą częścią wspornika jest ramię nośne o wymiarach jak na rys. 4 R, zrobione z klejonki grubości 3/8''. W jednym końcu ma kwadratowy otwór, wykonany ściśle na wymiar słupka, a w drugim — otwór większy 4'' x 2'', stanowiący wylot czy okno latarni. Ramię to musi być przyklejone i silnie przykręcone śrubami do górnej części prowadnicy (rys. 4 P). Dla większej sztywności dobrze tu zamocować podpórkę w kształcie trójkąta (rys. 4 T), jedną stroną przytwierdzoną do boku prowadnicy, a drugą — podpierającą ramię.

Na wsporniku zamocował Franek latarnię, a pod nim — mieśzek, z soczewką na końcu. Jeszcze tylko pomiędzy latarnią a wspornikiem pozostawił szczelinę do wsuwania kliszy.

Zrobił to w ten sposób, że denko latarni przyśrubował do ramki, pokazanej na rys. 4, jako część L. Ramkę zaś przyśrubował przed tym do wspornika, lecz jednym tylko brzegiem, po przez podkładkę z klejonki (rys. 4 D) 5'' długą, 1'' szeroką i 3/8'' grubą, w sposób widoczny z rys. 4. Strzałka K pokazuje kierunek w którym się wsuwa kliszę w szczelinę, przeciw oporowi dwu sprężyn S, zamocowanych w jednym końcu na ramce.

MIESEK I SOCZEWKA

Pod wspornikiem przymocował Franek mieśzek skórzany, nabyty okazjnie w jakimś sklepie z rupieciami.

Główne części mieszka, pokazanego na rys. 5, są: ramka drewniana A, rozciągający się jak harmonijka mieśzek skórzany Z, przymocowany szerszym końcem do ramki, a drugim — do zamkającej go deseczki B, z otworem w środku na soczewkę.

Zmocowanie mieszka ze wspornikiem musi być pewne i szczelne, uniemożliwiające przedostawanie się światła inną drogą, niż przez soczewkę. Nie jest wskazane przyklejanie go, czy przyśrubowywanie do wspornika na mur, lecz lepiej go móc odejmować, jak np. w sposób obrany przez Franka.

Na rys. 3 widać przyśrubowaną pod wspornikiem ramkę H, z dwoma żłobkami, biegnącymi wzdłuż jej dłuższych boków. Jeden z tych żłobków widać w całej jego długości na „widoku z boku”. W „widoku z przodu” pokazany jest tylko ich obrys.

Na rysunku mieszka (rys. 5) w „widoku z góry” widać dwa paski metalowe I biegnące wzdłuż dłuższych brzegów ramki,

przyśrubowane poprzez węższe od nich podkładki drewniane. Dzięki temu paski metalowe wysterczają jednym brzegiem ponad podkładki, jak to lepiej pokazuje w obrysie „widok z przodu”. Łatwo sobie teraz wyobrazić, że jeżeli wymiary żłobków na ramce H są zgrane z wymiarami wysterczających brzegów owych metalowych zaczepów na mieszku, to można będzie mieszek wsunąć, jak szufladę, pod wspornik, gdy brzegi pasków wejdą w żłobki na ramce.

Przy dokładnym wykonaniu daje to łatwo rozbierną połączenie mieszka ze wspornikiem. Dla lepszego uszczelnienia — można na tych miejscach ramki A mieszka, które stykają się z ramką H na wsporniku, nakleić paski pluszu lub miękkiego sukna.

A teraz sprawa nastawiania soczewki względem negatywu.

A więc na bokach ramki A, z rys. 5, przymocował Franek skobelkami dwa okrągłe pręty mosiężne E, o 1/4" średnicy. Przygotował następnie płytkę aluminiową C, na której końcach zanitował dwie tulejki F, ze śrubkami, jak na rysunku. Tulejki mają otwory dokładnie dopasowane do grubości prętów E, tak, że gdy nawleczone na nie, zapewniają równoległość przesuwania się płytki C względem ramki mieszka, a przez to i kliszy.

W środku płytki C zrobił Franek duży otwór, na miarę soczewki, oraz kilka mniejszych dziurek, na śrubki mocujące do płytki deseczkę B mieszka z jednej strony, a oprawkę soczewki — z drugiej.

Jest to jeden z wielu możliwych sposobów rozwiązania tego ważnego zagadnienia. Zsuwanie czy rozciąganie mieszka może się tu odbywać przy jednoczesnym ruchu obu tulejek. Od dokładności ich dopasowania do prętów zależeć będzie równość posuwu, bez przekrzywania się płytki i zacinania. Unieruchomienie urządzenia na żądanym poziomie uzyskuje się przez dokręcenie śrubek na tulejkach.

W rzutnikach wykonanych fabrycznie soczewkę przesuwa się zazwyczaj przy pomocy śruby mikrometrycznej, ale wykonanie podobnego urządzenia domowymi środkami byłoby bardzo trudne.

Niezawsze jest możliwe zdobycie starego mieszka. Można go zastąpić teleskopem z dwu pudełek blaszanych, nasuwanych jedno na drugie. W dnie dolnego, ruchomego, należy zamocować soczewkę, a górne przyśrubować pod spodem wspornika.

Nasuwanie pudełka na pudełko niezawsze idzie gładko, częściej odbywa się skokami, co utrudnia dokładne nastawienie soczewki na ostrość. Słyszałem więc, że pewien majster od wszystkiego zastąpił ten ruch posuwisty ruchem obrotowym, śrubowym. Wyłożył mianowicie wnętrze jednego takiego pudełka filcem, a wierzch drugiego, ruchomego, okręcił spiralą z grubego drutu miedzianego. Obracając dolnym pudełkiem, wkręcał je w drugie — uzyskując pożądaną przesuw soczewki względem kliszy.

Udoskonaleniem tego sposobu będą znajdujące się na rynku „enlarger focussing mounts” (w cenie coś około funta), składające się z dwu nagwintowanych rur mosiężnych. Jedna jest nieruchoma, przymocowana do wspornika, a druga, ruchoma, dźwiga soczewkę. Obracając — wkręcamy ją lub wykręcamy z części nieruchomej i przysuwamy lub odsuwamy soczewkę od kliszy.

Soczewka musi mieć metalową, pierścieniową oprawkę, przy pomocy której może być przytwierdzona do płytki.

Soczewka zastosowana do naszego rzutnika może być z jakiegos zdemobilizowanego aparatu fotograficznego. Na przykład w przypadku rzutnika opisywanego użyłem skromniutką soczewkę ze starego aparatu Kodaka. Soczewkę taką trzeba dobrze przesłonić, t.j. używać jej przy stosunkowo małym ot-

worze, aby uniknąć zniekształceń. Pociąga to za sobą z drugiej strony tę niedogodność w pracy, że wobec większej głębi ostrości i zmniejszenia naswietlenia trudno znaleźć położenie najlepszego nastawienia na ostrość. Radzić tu sobie trzeba, nastawiając soczewkę przy największym otworze, a potem robić powiększenia przy otworze zmniejszonym.

Naprawdę dobrych wyników jednak oczekiwać można tylko od umyślnie w tym celu zrobionej soczewki do powiększeń, odpowiadającej wymaganiom wyszczególnionym z grubsza w pierwszej części niniejszego artykułu (patrz Poradnik Nr 120). Koszt jej wynosi jednak jakieś 5-7 funtów.

Można użyć soczewki wykręconej z własnego aparatu fotograficznego, jeżeli to nie grozi innymi komplikacjami, lub wreszcie można jej użyć bez wyjmowania jej z aparatu, otworzywszy go jak do zakładania filmu (oczywiście filmu wtedy być nie może) i złączywszy go z resztą rzutnika przez jakieś sprytnie przymocowanie do dolnej części wspornika. Musi to jednak być aparat z długim miechem (t.zw. double extension), pozwalającym na większe przesunięcia soczewki, niż przy zwykłym fotografoowaniu.

Uważać przy tym należy, aby gorąco od latarni nie zepsuło soczewki, rozmiękczając klej, jakim są sklepane jej poszczególne szkła.

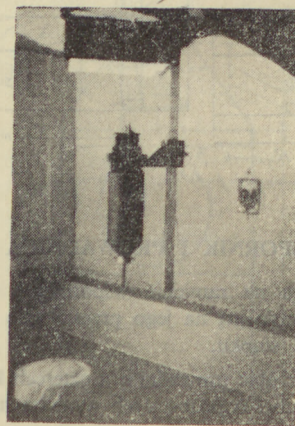
A jakiegokolwiek użyje soczewki — pamiętać zawsze trzeba, aby jej długość ogniskowa nie była mniejsza od przekątnej negatywu, z którego się robi powiększenia. Soczewka o zbyt krótkiej ogniskowej nie obejmie całej kliszy i powiększy należyście tylko jej środek. Przy wyborze posłużą dane orientacyjne z Tabeli I.

UCHWYT NA NEGATYW

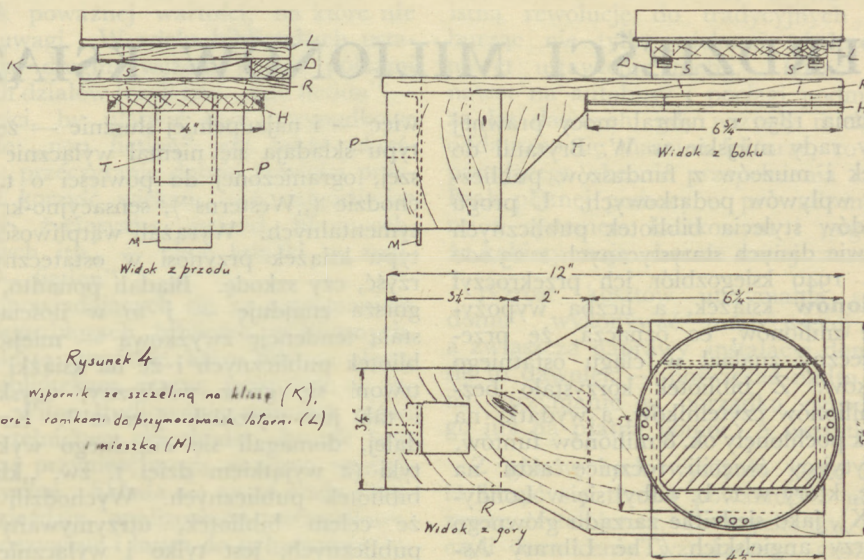
Szklane klisze są dostatecznie sztywne, aby je wprost wsuwać w szczelinę K na rysunku 4, natomiast filmy wymagają umyślnego uchwytu.

Najprostszym uchwytem będą dwie zwykłe płytki szklane, o wymiarach nieco większych niż klisza. Film wkłada się zwyczajnie pomiędzy nie i wsuwa w szczelinę, gdzie zostaną przytrzymane przez sprężyny S.

Bardziej wymyślny będzie uchwyt z dwu ramek drewnianych lub metalowych z oprawionymi w nie szklami, opatrzone zawiaskami, pozwalającymi na otwarcie ich jak książki i wygodne umieszczenie kliszy po środku.



Zdjęcie gotowego aparatu do powiększeń



Rysunek 4
Wspornik ze szczeliną na kliszę (K),
oraz ramkami do przymocowania latarki (L)
i mieszka (M).

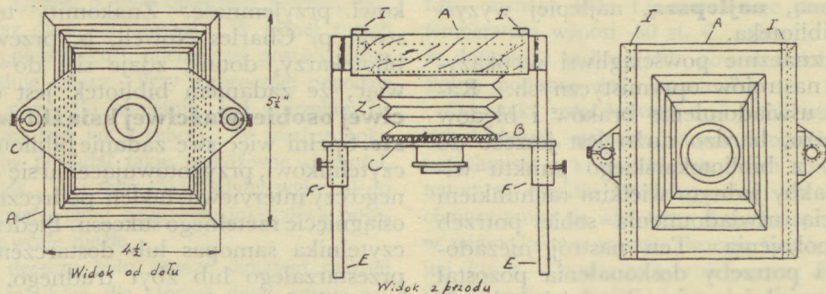
Robota podobnego uchwytu daje duże pole do popisu, pomysłowości i zręczności.

RAMKI NA ODBITKACH

Prawdziwą ozdobą każdej odbitki fotograficznej jest równa biała obwódka, jak ramka, wzdłuż jej brzegów. Uzyskuje się ją w ten sposób, że zasłania się brzegi światłoczułego papieru materiałem nieprzezroczystym, tak, że po naświetleniu i działaniu na papier chemikaliami fotograficznymi pociemnieją jego części, które były odsłonięte, brzegi zaś pozostaną białe.

Najprostszym sposobem uzyskania takiej obwódki jest nałożenie ramki drewnianej (albo lepiej metalowej) na papier światłoczuły, z okienkiem nieco mniejszym niż papier. Metalowa jest lepsza, gdyż jako cięższa równiej przycisnie i lepiej unieruchomi takich ramek, o różnych wymiarach, zależnie od tego, jaki j wielkości powiększenia zamierzamy robić.

Znacznie większą swobodę przy robocie daje t.zw. po angielsku „adjustable masking frame”, pozwalająca na uzyskanie białej ramki przy dowolnym wymiarze powiększenia. Koszt jej jednak wynosi ponad cztery funty.



Rysunek 5. Mieszek i soczewka

WYKOŃCZENIE RZUTNIKA

Każda niemal część rzutnika powinna być pomalowana właściwym kolorem. Nie będzie to zbyt kłopotliwe, jako że tych kolorów będzie tylko dwa: biały i czarny.

Białą farbą, albo farbą aluminiową, maluje się wewnątrz latarni, jak już o tym była mowa, natomiast zewnątrz latarnia winna być czarna. Na białą musi być też pomalowany wierzch pudełka, służący za stolik fotograficzny. Jeśli jego powierzchnia nie była dostatecznie gładka, wówczas należałoby położyć na nim gładką deskę, dostatecznie dużą, pomalowaną na białą, lub po-

krytą, albo oklejoną białym papierem. Jest to konieczne z tego względu, że przy nastawianiu na ostrość trzeba widzieć obraz ze wszystkimi szczegółami, najlepiej się zarysowującymi tylko na białym tle.

Wszystkie inne części rzutnika winny być pomalowane farbą czarną, ale koniecznie matową, żeby nie odbijały promieni świetlnych. A więc czarny musi być wspornik i wszystkie przymocowane doń ramki i uchwyty, zarówno z zewnątrz jak i od środka. Czarny musi być uchwyt na negatyw oraz ramki, dające białe obwódki na powiększeniach.

MARIA DANILEWICZOWA

CZTERDZIEŚCI MILIONÓW KSIĄŻEK

W dniu 14 sierpnia 1850 r. nabrał mocy prawnej akt, upoważniający rady miejskie w W. Brytanii do zakładania bibliotek i muzeów z funduszków publicznych uzyskanych z wpływów podatkowych. U progu uroczystych obchodów stulecia bibliotek publicznych ustalono na podstawie danych statystycznych z 23.000 bibliotek, że w r. 1949 księgozbiór ich przekroczył **czterdzieści milionów** książek, a liczba wypożyczeń wyniosła 312 milionów, co oznacza, że przeciętny tom biblioteczny znalazł w ciągu ostatniego roku 7-8 czytelników. Z bibliotek korzystało bezpłatnie około 12 milionów czytelników, a wydatki na utrzymanie bibliotek pochłonęły ok. 8 milionów funtów.

Bibliotekarze brytyjscy święcili rocznicę aktu na dorocznym zjeździe, który w r. b. odbył się w Londynie (w dn. 18-22.IX), jako siedzibie zarządu głównego związku bibliotekarzy angielskich (The Library Association). Zjazd zgromadził około 1600 uczestników. Obok bibliotekarzy wzięli w nim licznie udział przedstawiciele władz samorządowych i zasiadający w komisjach bibliotecznych. Obecność ich na zjeździe wydała mi się szczególnie wymowna: trudno byłoby mi znaleźć kontynentalny odpowiednik tego zjawiska. Niefachowcy, — przygodnie tylko i na czas pewien związani z problemami administracyjno-bibliotecznymi, — bili często bibliotekarzy znajomością przedmiotu i entuzjazmem godnym pozazdroszczenia. Byli oni w pełnym znaczeniu tych słów „patriotami bibliotecznymi” i chwilami wydawało się, że święto biblioteczne brytyjskie jest właściwie ich samorządowym świętem, dniem radości dla merów i radnych, chlubiących się własną, **najlepszą**, najlepiej wyzyskaną i urządzoną biblioteką.

Bibliotekarze byli znacznie powściągliwsi w okazywaniu entuzjazmu i nastrojów optymistycznych. Radość przesłaniało im uświadomienie braków i błędów oraz poczucie, że dużo, bardzo dużo jest jeszcze do zrobienia. Toteż — z bibliotekarskiego punktu widzenia — zjazd był jakby jednym wielkim rachunkiem sumienia, sposobnością uświadomienia sobie potrzeb i sposobów ich zaspokojenia. Ten nastrój niezadowolonia z osiągnięć i potrzeby doskonalenia pozostał w moim umyśle jako najsilniejsze i najbardziej dodatnie wrażenie zjazdowe.

Czym martwiono się, jakie stawiano zarzuty? — rzecz warta zbadania, bo w świetle odpowiedzi wyjdzie na jaw niejeden głębszy rys charakteru brytyjskiego w ogóle. Pesymiści biadali więc przede wszystkim nad obojętnością 3/4 ludności W. Brytanii, t.zn. większości mieszkańców, która z bibliotek **rzekomo** nie korzysta. **Rzekomo** — brzmiała odpowiedź optymistów, dorzucających do oficjalnych statystyk milionowe rzesze, korzystające z bibliotek innych, niż publiczne, a więc przede wszystkim z płatnych wypożyczalni, związanych z księgarniami, składami materiałów piśmiennych itp.

Pesymiści, nie mogąc przeczyć, odcinali się dalszymi pojękiwaniami na temat jakości lektury, dostarczanej — może nawet i powszechnie i na dogodnych warunkach — przez wypożyczanie płatne. Powiadali

więc — i najzupełniej słusznie — że księgozbiory tego typu składają się niemal wyłącznie z lektury najgorszej, ograniczonej do powieści o t. zw. Dzikim Zachodzie („Westerns”), sensacyjno-kryminalnych i sentymentalnych. Wyrażali wątpliwości, czy lektura tego typu książek przynosi w ostatecznym rezultacie korzyść, czy szkodę. Biadali ponadto, że literatura najgorsza znajduje — i to w ilościach, wykazujących stałą tendencję zwykłą — miejsce na półkach bibliotek publicznych i że na książki mało wartościowe trwoni się grosz publiczny, uzyskany z podatków i tak już wysokich („rates”). Krytycy, idący najdalej, domagali się zupełnego wykluczenia beletrystyki (z wyjątkiem dzieł t. zw. „klasyków”) z półek bibliotek publicznych. Wychodzili oni z założenia, że celem bibliotek, utrzymywanych z funduszków publicznych, jest tylko i wyłącznie kształcenie obywateli, a w szczególności pomoc w samokształceniu.

Powszechnie przeciwstawiano temu pogląd, że biblioteki publiczne służyć winny trzem celom: informowaniu, kształceniu i rozrywce. **Informowaniu** służą biblioteki podręczne („reference rooms”), dostępne dla każdego bez żadnych formalności i dobrze zaopatrzone w encyklopedie, słowniki, informatory, atlasy itp. **Kształceniu** pomocne są wszystkie książki wartościowe, ze wszystkich dziedzin wiedzy, zarówno podręczniki i dzieła naukowe, jak i literatura piękna. **Rozrywce** służą wreszcie książki lżejszej kategorii, mało może nawet wartościowe, o ile spełniają cel, — t.j. o ile przynoszą odprężenie nerwów po całodzienną ciężką pracę i sprawiają czytelnikowi przyjemność. Znakomity teoretyk bibliotekarstwa, p. Charles Nowell, b. przewodniczący Zw. Bibliotekarzy, dotarł, zdaje się, do sedna sprawy, mówiąc, że zadaniem bibliotek jest dostarczanie **właściwej osobie właściwej książki we właściwym czasie**. Spełni więc swe zadanie bibliotekarz, jeśli dostarczy czytelnikowi, przygotowującemu się do egzaminu wstępnego czy interview, takich podręczników, które ułatwią osiągnięcie rzetelnego sukcesu. Błędem byłoby puszczanie czytelnika samopas lub dostarczenie mu podręcznika przestarzałego lub zbyt trudnego. Zadanie bibliotekarza będzie także spełnione, gdy czytelnikom najmłodszym, odwiedzającym salę dla dzieci i młodzieży, podsunie **w porę** arcydzieła literatury, pobudzające młode umysły i zostawiające niezatarte wrażenie.

W porę — to znaczy w latach, gdy wyobraźnia działa najżywiej, a książka wywiera wpływ na kształtowanie charakteru. **Właściwą książką** dla ciężko chorego będzie np. „A happy Prisoner” Moniki Dickens, — powieść mówiąca o pogodnym zwalczaniu kompleksów, towarzyszących kalectwu. Książką niewłaściwą będzie największe nawet arcydzieło literackie, niosące za sobą falę pesymizmu.

Zwolennicy stanowiska radykalnego, opowiadający się za wykluczeniem beletrystyki, znaleźli się w zdecydowanej mniejszości. Większość bibliotekarzy jest zdania, że czytelnik, przychodzący do biblioteki publicznej po lekką lekturę rozrywkową, ma przy okazji możliwość przejrzenia, a co za tym idzie, wy-

pożyczenia książek poważnej wartości, na które nie zwróciłby inaczej uwagi. W wielu bibliotekach ustawa się beletrystykę długim węzłem ponad półkami z książkami z innych działów (czyli tzw. „non fiction” — innymi niż powieści, by ułatwić owe przypadkowe spotkania). Pojęcie „non fiction” jest także określeniem względnym: przeczytanie dobrej powieści przyniesie czytelnikowi korzyść większą, niż najgorliwsze nawet studiowanie życiorysów gwiazd filmowych, bzdur astrologicznych itp., — choć książki te znajdzie wśród „non — fiction”.

Wśród głosów, opowiadających się za utrzymaniem beletrystyki w księgozbiorach bibliotek publicznych, znalazły się wreszcie te wszystkie, które biły na alarm i przepowiadały bibliotekom czarną przyszłość w latach najbliższych. Pilne studiowanie statystyk mówi mianowicie, że czytelnictwo przechodzi obecnie kryzys, a lata najbliższe przyniesić mogą znaczne zmniejszenie ilości wypożyczeń. Składa się na to wiele przyczyn, które na zjeździe analizowano szczegółowo. Niektóre z nich są oczywiste i łatwe do uchwycenia, — a więc wpływ tzw. „comics” czyli gazetek rysunkowych na dzieci, a prasy brukowej na dorosłych; uczęszczanie na zawody sportowe i pseudo-sportowe; rywalizacja kina, słuchanie radia itd. Rywalem książki okazuje się jednak także telewizja, która wprowadza

istną rewolucję do tradycyjnych „sitting-room’ów”, burząc nie tylko wiekami uświęcone zwyczaje, ale nawet ustawienie mebli. Część winy przerzucono nawet na autobusy i pociągi podmiejskie, w których, za lat dawnych, gdy wszyscy mieli miejsca siedzące, oddawano się masowo lekturze, co jest w warunkach panującego obecnie przepelnienia rzeczą nieosiągalną. Brak płatnej pomocy w prowadzeniu domu, połączone z systemem kartkowym i „ogonkami”, sprawia, że kobiety mają obecnie mniej czasu na lekturę.

Wzrost kosztów utrzymania sprawił, że „pan domu” wykonywać musi więcej prac domowych, a zwłaszcza naprawy instalacji domowych, niż działo się to dawniej, — poświęcać nadto musi więcej czasu na utrzymanie w porządku ogrodu, gdyż nie stać go już na płatną pomoc. A wszystko kosztem lektury.

Z głosów tych wynikało jasno i przekonywająco, iż liczyć się trzeba poważnie z nadchodzącym kryzysem czytelnictwa. Entuzjaści tzw. „visual education” czyli kształcenia wzrokowego groźbę tę starają się osłabić wysnuwaniem argumentów, że dobre widowisko teatralne, piękny film, balet, czy wreszcie dokumentacyjny reportaż telewizyjny wzbogacają życie duchowe człowieka przeżyciami, dającymi porównać się bezpiecznie z korzyściami lektury.

TADEUSZ FELSZTYN

Z WIZYTĄ U PLANETNIKA

Nie wiem, czy wielu czytelników miało sposobność czytania „Bajek” Dygasińskiego. Oparte o stare opowieści ludowe, dają nam one doskonały obraz dawnych wierzeń. W jednej z nich opowiada Dygasiński o „planetniku”, tajemniczej postaci, która rozciąga chmury i powoduje deszcz. Przy tegorocznej pogodzie w Anglii niebardzo by nam taki planetnik był potrzebny (w chwili, gdy to piszę, deszcz leje jak z cebra). W zeszłym roku jednak jegomość, który by posiadał takie przedziwne własności, na pewno zrobiłby majątek. A i tego roku, gdyby wyjechał do Ameryki, gdzie kilka miesięcy temu panowała dokuczliwa posucha, powodziłoby mu się wcale nieźle.

Sztuczne wytwarzanie deszczu było zawsze tematem marzeń wielu ludzi, a zwłaszcza rolników, dla których długo trwała posucha jest klęską. Aż do ostatnich lat było to jedynie pobożne życzenie. Dopiero niedawno po raz pierwszy udało się człowiekowi wytworzyć sztuczny deszcz.

Jak o tym mówiliśmy w poprzednim numerze, niekażda chmura daje deszcz. Do tego bowiem potrzebne są różne warunki jej wysokości, grubości i wiatrów w niej panujących. Jak tęsknie jednak nieraz rolnik patrzy ku niebu, po którym przesuwiają się chmury, jedna za drugą, przeganiane wiatrem, nie dając jego spragnionej roli ani kropli ożywczego deszczu. Są to, jak wiemy, chmury, których wysokość nie jest dostateczna, aby powstałe w górnej warstwie kryształki lodu mogły stanowić ośrodki krystalizacyjne dla drobnych kropelek wody w jej tonie, niezdolnych bez tej pomocy do skupienia się w kroplę odpowiedniej wielkości.

I tu jest moment, w którym człowiek może wpłynąć skutecznie na przebieg naturalnych zjawisk. Trzeba po prostu naturalne kryształki zastąpić sztucznymi. Zamiast kryształków lodu, które są niedość energiczne i tym samym konieczne by były

w bardzo dużych ilościach, można użyć środków innych, jak np. t.zw. suchego lodu t.j. zestalonego dwutlenku węgla, którego temperatura wynosi -80 st. C. (Jest to temperatura tak niska, że dotknięcie suchego lodu powodowałoby poważne uszkodzenie skóry, podobne do... oparzenia).

Gdy taki sproszkowany suchy lód wsypujemy do chmury pełnej drobnych, przeschłodzonych kropelek, przemieniają się one natychmiast w kryształki lodu i tym samym zastępują brakujące naturalne ośrodki krystalizacyjne. Drobne kropelki wewnątrz chmury mogą się więc teraz skupić razem (tak, jak to opisaliśmy w poprzednim numerze), tworząc krople wielkości już przyzwolonej, które — opadając powoli poprzez chmurę i rosnąc po drodze — mają z chwilą jej opuszczania wielkość dostateczną, aby opaść na ziemię w postaci deszczu.

Pierwsza taka próba, wykonana w dniu 5 lutego 1947 roku w Południowej Nowej Walii, w odległości około 100 km od Sydney, dała wyniki niezmiernie zachęcające: w niespełna pół godziny po wrzuceniu do chmury z lecących ponad nią samolotów kryształków suchego lodu, opadł z niej rzęsy deszcz na przestrzeni około 200 kilometrów kwadratowych.

Podobne próby powtórzone następnie i w Stanach Zjednoczonych, z zupełnie tym samym wynikiem. We wszystkich tych jednak wypadkach chmury były na tyle wysokie, że czubek ich był już w warstwach powietrza, gdzie temperatura jest poniżej zera, lecz nie tak wysokich, aby pierwsze kryształki lodu mogły się utworzyć samorzutnie, do czego, jak wiemy z poprzedniego numeru, konieczne są temperatury poniżej 13 st. niżej zera.

W tych warunkach kropelki wody były w górnej warstwie chmury przeschłodzone, suchy lód działał więc, jak język spustowy w naładowanym karabinie: wyzwalał proces zamrażania przeschłodzonych kropelek w lód, który — raz zapoczątkowany

— rozprzestrzenił się następnie po dość dużej przestrzeni samorzutnie. W chmurze, której górna warstwa leżałaby poniżej punktu zamarzania, zadanie byłoby znacznie trudniejsze i szanse wytworzenia deszczu mocno iluzoryczne.

Jak więc dotychczas, nowocześni „planetnicy” umieją sztucznie wytwarzać deszcz jedynie w dość wyjątkowych warunkach. Są to więc ciągle jeszcze raczej próby naukowe na wielką skalę, niż zadania o charakterze praktycznym. I dużo jeszcze czasu upłynie, nim człowiek potrafi opanować problem pogody do tego stopnia, by mógł wpływać nań — w pewnej mierze przynajmniej — wedle swej woli.

ŚNIEG, GRAD I MGŁA

Warunki, w jakich powstaje śnieg, są zupełnie podobne do tych, w jakich powstaje deszcz. Różnica polega tylko na tym, że dolna warstwa chmury i przeważająca część powietrza między jej spodem a ziemią ma temperaturę poniżej punktu zamarzania. W ten sposób opadające z góry kryształki lodu, skupiając na sobie drobnitki kropelki przeschłodzonej wody, przemieniają je w lód. Tak powstałe igielki krystalicznego lodu, układając się obok siebie w kierunku wiążących je sił, tworzą precyzyjne figury, podobne do tych, jakie widzimy w kalejdoskopie, tak drobne, że trudno je dojrzeć gołym okiem. Taka misterna i lekka sieć igielek lodu, nieomal pusta wewnątrz, opada na ziemię w postaci płatków śniegu, które pod swą pozorną jednostajną bielą kryją przedziwne piękno, widoczne niestety jedynie pod mikroskopem.

Znacznie bardziej zagadkowe jest powstawanie gradu. Od wieściu lat starali się ludzie nauki wyjaśnić to zjawisko, wysuwając liczne teorie, których jednak następnie rzeczywistość nie potwierdzała. Przyczyna leżała częściowo w tym, że za mało jeszcze wiedziliśmy o procesach, zachodzących w chmurach, częściowo zaś, że — widząc, iż grad towarzyszy przeważnie błyskawicom i piorunom — chciano koniecznie widzieć jego źródło w zjawiskach elektrycznych.

Dopiero niedawno rozległe badania chmur deszczowych, pozwoliły nam podnieść lekko zasłonę tajemnicy.

Otóż grad powstaje w chmurach burzowych, zwanych z łaciny „cumulo-nimbus”ami. Chmury te, których podstawa schodzi niekiedy aż na wysokość 150 metrów ku ziemi, mają wierzchołek swój z reguły w rejonach, gdzie temperatura jest niższa, niż 13 stopni Celsjusa poniżej zera, gdzie więc samorzutnie powstają kryształki lodu. Wysokość ich jest bardzo różna: spotykano chmury burzowe, sięgające aż na 15 kilometrów wżwyż. Druga ich cechą charakterystyczną — to gwałtowne prądy wstępujące i zstępujące o szybkościach do 100 kilometrów na godzinę i gwałtowne wiry, połączone z nagłymi podmuchami o szybkości do 40 kilometrów na godzinę. To kłębowisko różnolitych mas powietrza o dużych różnicach temperatury, a więc i gęstości, o rozmaitych potencjałach elektrycznych, które właśnie są źródłem potężnych wyładowań, znanych jako błyskawice i pioruny, jest fabryką, gdzie powstaje grad. Drobne kryształki lodu, rzucone wiatrem zstępującym w dolne, pełne drobnitki kropelki wody, warstwy chmury, tworzą załazki nieustannie rosnącej kropelki deszczu, aż gwałtowny podmuch wiatru, tym razem wstępującego, nie rzuci tej kropelki ku szczytowi chmury, gdzie ona zamarza w kuleczkę lodu. Znow rzucona w dół, powleka się ona nową warstwą wody, aby ponownie, trafiwszy na ku górze skierowany prąd powietrza, zamarznąć w szczytcie chmur w kuleczkę tym razem już większą. Im częściej powtarza się ten proces, tym bardziej kulka gradu rośnie, aż w wyjątkowych wypadkach osiągnąć może wielkości jaka kurzego, a nawet i większej. Samoloty spotykały na szczytach chmur burzowych kulki lodu o średnicy i ponad 7 cm. Aż wreszcie, trafiwszy w silny prąd skierowany na dół, kulka taka znajdzie się poza chmurą

i — wyrzucona z niej gwałtownym podmuchaem wiatru — opadnie na ziemię jako grad.

Podobne zjawisko zachodzi i w zimie, gdy dolna warstwa chmury, „chmury burzowej”, ma temperaturę poniżej punktu zamarzania wody. Różnica zachodzi tylko w tym, że pierwsza utworzona kulka nie skupia dokoła siebie kropelki wody, lecz drobne kryształki lodu, które, rzucone w górę, przyklejają się do niej, tworząc małą kulę śnieżną utworzoną przez siły przyrody, a nie ludzkie. Proces ten powtarza się kilkakrotnie, aż wreszcie taka kuleczka opada na ziemię nie jako twardy grad, lecz jako stosunkowo znacznie miększe „krupy”.

O ile powstawanie gradu i krup związane jest z silnymi wiatrami, o tyle mgła wymaga dla swego powstania ciszy. A o ciszę w powietrzu bardzo trudno. Normalnie bowiem różnice temperatur powierzchni ziemi i warstw powietrza ponad nią powodują powstawanie prądów wstępujących i zstępujących, zupełnie takich samych, jak doskonale widoczne prądy powietrza, unoszące się w górę sponad pokrywki gorącego garnka. Kto, był na pustyni, pamięta doskonale, jak rozgrzane powietrze unosiło się z nad rozpalonego piasku w górę.

Jedynie w bardzo wyjątkowych przypadkach może na powierzchni ziemi zapanować cisza: niech np. w rejon, gdzie powietrze jest cieplejsze, napłyne fala powietrza zimniejszego. Będąc gęstsze, a więc cięższe, powietrze to wypchnie warstwę cieplejszą ku górze, tak że — wbrew temu, co się dzieje zwykle — będziemy mieli zimne powietrze w dole, a ciepłe w górze. Meteorologowie mówią wtedy, że mamy do czynienia z inwersją. Podobne zjawisko zachodzi np., gdy wieczorem, przy czystym niebie, ziemia szybko się ochładza, tak że warstwa przylegającego do niej powietrza staje się zimniejsza, niż powietrza górnego. Warunki takie zachodzą często w Polsce w porze wczesnej jesieni.

We wszystkich tych przypadkach prądy wstępujące powstać nie mogą i — jeżeli nie ma wiatru pochodzącego z innej przyczyny — warunki sprzyjają powstaniu mgły. Wszędzie więc tam, gdzie powietrze jest bardziej przesycone wilgocią (lub gdzie istnieje załazki, pomagające tworzeniu się kropelki wody w parze przesyconej) — powstaje mgła.

Szczególnie sprzyjające warunki spotykamy bądź na dnie kotlin, gdzie zimne powietrze najłatwiej spływa, lub też nad licznymi skupieniami ludzkimi, a zwłaszcza rejonami fabrycznymi. Tysiące kominów wyrzucają olbrzymie ilości sadzy, będącej doskonałym ośrodkiem krystalizacyjnym dla cząsteczek przesyconej pary wodnej. Toteż w takich ośrodkach najmniejsze już przesyconie pary, które w normalnych warunkach, zdala od osiedli, na pewno jeszcze nie utworzy mgły, tu wystarcza, aby miasto zasnęła lepiała powłoka drobnych zawieszin kropelki wodnych, a więc właśnie mgła. A jeśli do tego miasto używa kominów zamiast pieców i jeśli w łonie jego są liczne fabryki i warsztaty, bardzo niedoskonale spalające węgiel w swych mocno prymitywnych paleniskach, warunki, umożliwiające powstanie mgły, wzmagają się. A w miarę jej trwania nowe cząsteczki sadzy, nie rozproszone przez wiatry, jak to się dzieje w czasie normalnej pogody, w dalszym ciągu umożliwiają skraplanie się nowoutworzonej pary, toteż mgła gęstnieje, stając się z czasem przysłowiową mgłą londyńską. Równocześnie ilość zawieszin pylnych w powietrzu, nie mając przez kilka dni ujścia wskutek braku prądów powietrznych, stęży się do tego stopnia, że zaczyna już być niebezpieczną dla zdrowia ludzi o słabszych płucach.

O ile uniknięcie mgły w ogóle jest rzeczą niemożliwą, o tyle zmniejszenie jej natężenia w rejonach osiedli ludzkich zależy w dużej mierze od człowieka: wszystko, co sprzyja lepszemu spalaniu węgla i co zapobiega wyrzucaniu mas sadzy w powietrze, jest równocześnie środkiem dla zmniejszenia gęstości mgły i do polepszenia warunków zdrowotnych osiedla.

ZDZISŁAW BRONCEL

PRZEGLĄD FILMOWY

Najpopularniejszym zapewne filmem o Anglii jest amerykański obraz „Mrs. Miniver”, nagrany w 1942 roku. Tytułowa postać stała się dla większości widzów uosobieniem typowych angielskich reakcji, cnót i sposobu życia — i zapewne wiele osób urabiało swoje wyobrażenie o Anglii i Anglikach w dobie wojny na podstawie spojrzenia w życie domowe owej pary ze średnio zaможnej grupy społeczeństwa, tak systematycznie odtworzonej na ekranie przez Greer Garson i Waltera Pidgeon. Greer Garson zdobyła sławę tą rolą, stając się gwiazdą filmową pierwszej wielkości. Dziś, gdy już rzadziej widuje się tę przyjemną artystkę, wraca ona znowu jako „Pani Miniver” w filmie pt. „The Miniver Story”, aby tym razem pokazać życie angielskiej „middle-class” w okresie powojennym.

Jest to też zarazem pokazanie, jak obraz angielskiego świata odbija się w soczewce amerykańskiej, i dotknięcie sprawy wytworzenia pewnych typów narodowych w wyobraźni widza wskutek oglądania ich osobliwego ujęcia w amerykańskich filmach. Jeżeli wziąć pod uwagę, jak często widz anglosaski chodzi do kina, rysowanie typu narodowego na ekranie jest kwestią o niebyłe jakim znaczeniu, gdy idzie o wzajemne zrozumienie się narodów i ich międzynarodowe porozumienie.

Przed wojną obrazy amerykańskie o tematyce angielskiej — jeżeli pominąć różne wersje Szekspira i Dickensa — nie były tak częste, jak by się zdawało. Wspomnijmy najpopularniejsze, jak np. „Ruggles of Red Gap” z Laughtonem (prod. 1935 — wznowiony niedawno w Londynie), „Gunga Din”, „The Lives of a Bengal Lancer”, „The Lost Horizon”, „The Citadel”, „The Sun never sets” i — najbardziej chwalebna przez Anglików — „Kawalkada” z r. 1933. Wyróżniały się w nich dwa motywy: podkreślenie brawurowego typu „budowniczego imperium” w obrazach w rodzaju „Gunga Din”, które były jak gdyby „Westernem” przeniesionym do Indji, oraz kontrastowanie angielskiego snobizmu i kastowości z bezpośrednim sposobem bycia Amerykanów, co jednakowoż nie przeszkadzało idealizowaniu angielskiego typu lokaja, czy raczej — rodziny lokajskiej, gdzie syn dziedziczył funkcje po ojcu. („Ruggles of Red Gap”).

Podczas wojny typ Anglika uległ zmianie. Zmienił się też stosunek; ironia przerodziła się w podziw, niejedno dziwactwo stało się cnotą, jak np. w końcowej scenie obrazu „The Pied Piper”, gdy członkowie klubu czytają „Times'a” i rozmawiają półsłówkami o rybołówstwie podczas zacieklego bombardowania Londynu. Do tego właśnie okresu należy „Mrs. Miniver” (1942), „Pied Piper”, „Journey for Margaret”, „The White Cliffs of Dover” — jeśli idzie o tematykę wojenną, oraz „Random Harvest”, „Rebecca”, „How green was my Valley” (1941) z innego zakresu tematycznego. W „Mrs. Miniver” budziła podziw solidarność narodowa wszystkich klas, karność polityczna, niezawodność reakcji na prosty apel przez radio (sPLYw stateczków i łodzi pod Dunkierką), powściągliwość w wyrażaniu wzruszeń — i wiara w przyszłość wśród mnożących się ruin. Symbolem zaś Anglii i jej „wiecznotrwałości” był pokaz róż, odbijający się mimo wojny; a znakiem zachodzących zmian zdobycie nagrody na pokazie przez skromnego hodowcę — amatora, chociaż dotąd otrzymywała ją zawsze tylko lady Beldon. Zresztą lady Beldon też zaczyna zdawać sobie sprawę, że kultura jej świata, jej klasy roztapia się w szerszej sferze kultury, obejmującej cały naród, zjednoczony w walce z wrogiem politycznym i ideologicznym.

Ten obiecujący okres zrozumienia przerywa się nagle po wojnie. Anglicy niemal znikają z amerykańskiego filmu i amery-

kańskiego ekranu, jeżeli nie liczyć kilku przeciętnych fikmów kryminalnych. Współczesny temat angielski stał się nagle tabu dla Hollywoodu. Być może, po prostu dlatego, iż angielski socjalizm stał się równocześnie konkurencyjną ideologią wobec amerykańskiego hasła ultra-wolności i zasady: „każdy sobie, jak komu się podoba”.

Nie można byłoby dotknąć współczesności angielskiej bez zajęcia stanowiska wobec najintensywniej kształtującego ją dziś czynnika reform społecznych. Zaatakowanie ich byłoby ryzykowne, przykłaśnięcie zaś niezgodne z duchem Hollywood. Wreszcie t.zw. „szarość” angielskiego życia mogła się wydawać nieinteresująca dla filmu, kładącego tak duży nacisk na zewnętrzny blask i blichtr, sztucznie hodującego gwiazdy i wyposażającego np. „Carmen” w najnowszy model pantofelków a la „New Yorker” i sztuczną ondulację. Angielska „szarość” staje się interesująca dopiero wtedy, gdy ją prześwietlić światłem ludzkiej solidarności, wzajemnej pomocy, troski o zniesienie raniących różnic, — a tego rodzaju ujęcie przerasta ambicje większości amerykańskich obrazów.

I oto dopiero teraz „The Miniver Story” przywraca angielską tematykę amerykańskiemu filmowi, ale tylko na pół z przekonaniem. Powrót ten jest zresztą oznaką powrotu do dawnego aliansu wojennego, czyli poprostu — do sytuacji wojennej; można zaryzykować przewidywanie, że dziś mnożyć będą się życzliwe filmy o Anglii równoległe z produkcją filmów antyrosyjskich.

„The Miniver Story” pokazuje znaną nam rodzinę w powojennym Londynie. Pan Miniver pracuje w zrujnowanej City, córka powróciła z ATS z kłopotami miłosnymi, a syn z Ameryki ze zwulgaryzowanymi manierami. Podkreśla się stopień zombardowania Londynu, akcentuje sztuczną i niespotykaną tutaj — rezerwę uczuciową, całość zaś obraca się naokół stoicyzmu pani Miniver, która powoli gaśnie, nie mówiąc nic rodzinie o nieuleczalnej chorobie. Jeżeli postać Mrs. Miniver była niemal symbolem, Anglik mógłby się spytać, czy tym razem nie oznacza to stoickiego ofiarowania się Anglii (bomba atomowa) w razie konfliktu zbrojnego.

Nic dziwnego, że angielska krytyka przyjęła bardzo kwaśno ów powrót Mrs. Miniver, który może nie jest dziś filmem najbardziej interesującym, ale którego obejrzenie daje pole do wielu refleksji.

* * *

Parę słów o innych filmach. Czysty materiał filmowy zawiera „The White Tower” — przygoda górską, interesująco sfotografowana na tle masywu Mont Blanc. Jest to typ obrazu o takim bogactwie wrażeń wzrokowych, że nigdy nie opuszczam nadążającej się sposobności zobaczenia go. Warto też zobaczyć wspomniane już dawniej „Trio” i najlepszy z tegorocznych Westernów „The broken Arrow” z wyjątkowo udanym technicolorem (szczególnie scena weselna z jakimś, istic Gauguinowskim, odjazdem na białym koniu).

Na zakończenie dwa filmy fantastyczne o podróżach międzyplanetarnych: „Destination Moon” (lepszy) i „Rocketship XII” (słabszy), dla tych, którzy lubią fantazje a la H.G. Wells. W „Destination Moon” ekspedycja ląduje na martwym globie (po cóż było tam jechać?) i obejmuje go w posiadanie formułą: „Z łaski Bożej, w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki, biorę ten ląd w posiadanie w imię całej ludzkości”. Dość znamienne sformułowanie, w którym Ameryka wyraźnie obejmuje rolę przywódcy ludzkości, nie zapominając o własnych ambicjach terytorialnych.

JAN OSTROWSKI

Polskie zespoły tańców narodowych w Nowym Jorku

Korzystając z pobytu w Londynie wielkiego miłośnika polskich tańców ludowych i narodowych, inż. Eugeniusza Jabłońskiego z Nowego Jorku zdołaliśmy uzyskać garść informacji o zainteresowaniu tańcami polskimi wśród Polonii amerykańskiej, w stolicy Stanów Zjednoczonych, i tamtejszych zespołach, pielęgnujących polski zwyczaj taneczny. Okazuje się, że czynne są i prowadzą ożywioną działalność w Nowym Jorku co najmniej cztery taneczne zespoły amatorskie, zorganizowane w różnego rodzaju stowarzyszenia lub kluby.

Na pierwszym miejscu wymienić należy Polish Dance Circle (Polskie Koło Taneczne), istniejące już od 15 lat. Doskonały jego organizator p. Bronisław Matusz postarał się o połączenie pięknego z pożytecznym i z amerykańską przedsiębiorczością zreczenie skomercjalizował swój zespół taneczny. Biorąc na siebie wszelkie koszty związane z prowadzeniem zespołu tanecznego, a więc wynajem sali, zdobycie materiału nutowego i choreograficznego, pozyskanie akompaniatora, sporządzenie kostiumów i t.d., kierownik tej grupy wymaga od członków zespołu udziału w występach i przedstawieniach, za które pobiera normalne opłaty, jak z widowsk teatralnych.

Młodzież, rekrutująca się z lokalnej Polonii, chętnie garnie się do tych imprez, znajdując sama wiele użytku, zadowolenia i uciechy w tańczeniu i popisywaniu się przed publicznością, złożoną zarówno z rodaków, jak i zamerykanizowanych przedstawicieli innych narodowości, zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych. Trzeba nawiasem wspomnieć, że w Ameryce istnieje żywe zainteresowanie ogólne wszelkiego rodzaju tańcami ludowymi; wśród miłośników folkloru tanecznego tańce polskie cieszą się dużym powodzeniem ze względu na swój rytm, żywiołowość i barwność kostiumową. Na wielu zabawach, czy festiwalach polskich lub ogólnie amerykańskich można widywać tancerzy polskich, ścigających wielu widzów.

Zespołem, któremu sekretarzuje p. Jabłoński, jest Polish Folk Art and Dance Group (Polski Zespół Sztuki Ludowej i Tańca). Założony został on również jeszcze przed wojną, jakieś 15 lat temu. Prezesem tego stowarzyszenia jest p. Galiński, kierowniczką p. L. Rumówna. Sama będąc dobrą tancerką, p. Rumówna prowadzi stronę artystyczną zespołu, dbając o układy taneczne i ich wykonanie. Stara się przy tym zachować jak najwięcej z tradycji, jakie pozostawiła tu podczas przedwojennego pobytu znana tancerka z Warszawy, absolwentka szkoły p. J. Mieczysławskiej, p. Jadwiga Mierzejewska-Frankiewiczowa, przebywająca obecnie w Bielsku. Wiadomo, że jeszcze przed wojną p. Mierzejewska zajęła się bliżej tańcami ludowymi, inscenizacjami tanecznymi i rozwijała ożywioną działalność na gruncie organizacji polskich teatrów ludowych w Kraju. Wyjeżdżała z zespołami na różne międzynarodowe zjazdy i w tych swoich wędrówkach dotarła nawet do Stanów Zjednoczonych.

Zespół ten, jak i inne, liczy przeciętnie 30 osób, co jest, jak wykazała praktyka, niezbędnym minimum, aby w razie jakiegoś występu publicznego można było szybko i sprawnie wystawić grupę. Złożoną z 4 do 6 par. W zespole tym wielką rolę odgrywa rodzina Galińskich, gdyż do niej należy nie tylko prezes stowarzyszenia, ale czasem... połowa zespołu. Do grupy bowiem należy dwóch braci i 5 siostr Galińskich. Oprócz obecnej kierowniczki p. L. Rumówny do niedawna należała do tego zespołu również jej siostra Mita. Jak widzimy, tradycje pol-

skie są głęboko zakorzenione wśród przedstawicieli Polonii amerykańskiej i przejawiają się żywo i nagminnie, skoro tylko znajdują należyłą formę swego uzewnętrznienia.

Trzecia grupa związana jest z Polish Workmen's Aid Fund (Robotnicza Kasa Wzajemnej Pomocy). Kierowniczką jest p. Wesołowska, która uczy tańców polskich przeważnie dzieci i młodzież polską do lat 20. Liczy ponad pół setki członków i wykazuje najwyższą działalność. P. Wesołowska urodziła się już w Stanach Zjednoczonych, w Bostonie, i posiada wykształcenie baletowe. Niestety sama nigdy nie była w kraju i nie stykała się bezpośrednio z autentycznymi tańcami polskimi. Dlatego też tańce przez nią krzewione są może najmniej wierne. O odpowiednie materiały choreograficzne na miejscu jest stosunkowo bardzo trudno, stąd też istnieje również w Ameryce zagadnienie zdobywania i ogłaszania odpowiednich opracowań polskich tańców ludowych, na których można by się wzorować.

Istnieje jeszcze czwarty zespół, prowadzący dość nikłą działalność, choć dobrze zaopatrzone w materiały z kraju. Ma on podswęwkę polityczną; wielu jego członków wykazuje coraz większą skłonność do przenoszenia się do innych zespołów, mających szczerze patriotyczne nastawienie. Organizatorzy jednak na wszelkie sposoby starają się zapobiec rozproszeniu się raz pozyskanych i nieświadomych rzeczy członków.

Polskie tańce ludowe, ale już tylko jednego regionu, uprawiane są jeszcze w jednej organizacji, a mianowicie w Towarzystwie Tatrzańskich Górali, który posiada swoją grupę taneczną w New Jersey. Podobne Stowarzyszenia spotać można w różnych miastach na całym obszarze Stanów Zjednoczonych, ale nie są one związane we wspólnej organizacji. Wszędzie jednak uprawiają swe tańce, mające jak najbardziej autentyczny charakter. Nie uczą się ich i nie tworzą zwartych grup, ale tańczą okolicznościowo na zabawach dla własnej przyjemności, każdy to, co sam pamięta. Z zasady, gdy przyjedzie nowy góral z kraju, co dziś zdarza się coraz rzadziej, natychmiast popisuje się tym, co wyniósł z Kraju. Sekcje Towarzystwa mają dobre zespoły grajków i oczywiście własne oryginalne ubiory góralskie. Stowarzyszenia te zachowują wielką wyłączność, nie dopuszczając do siebie obcych żywiołów, i stanowią niejako odłam polskiej góralszczyzny przeniesionej żywcem do USA. Występów publicznych nie urządzają.

Niezależnie od pracy zespołów prowadzona jest przez różne organizacje akcja gromadzenia oryginalnych strojów ludowych polskich z różnych dzielnic kraju, ksiązek o zwyczajach polskich, materiału muzycznego, dotyczącego pieśni i tańców ludowych, itd. itd. Myśli się o rozpoczęciu akcji wydawniczej w zakresie opracowań polskich tańców narodowych i ludowych; nawiązano już wymianę informacji na podstawie posiadanych ksiązek z czasów przedwojennych. Pole do działania jest olbrzymie, bo i Polonia jest bardzo liczna, a oprócz tego zainteresowanie tańcami polskimi wykazują wielkie organizacje amerykańskie, liczące po 10 i 15 tys. członków i prowadzące własne wydawnictwa po angielsku lub dwujęzyczne. Na zabawach polonijnych ostatnio tańczy się z tańców polskich tylko polki i oberki. Odpowiednio poprowadzona akcja propagandowa i wydawnicza liczyć by mogła na pozyskanie wielu przedstawicieli młodzieży polonijnej dla uprawiania również innych form polskich tańców ludowych.

To sobie też postawiły za zadanie wspomniane zespoły i ich

inspiratorzy. Informator nasz inż. Jabłoński żywo interesuje się analogiczną działalnością, która zaczyna się rozwijać ostatnio na obszarze Wielkiej Brytanii w różnych skupieniach Polaków na wygnaniu. Przede wszystkim, rzecz oczywista, śledzi rozwój Koła Polskich Tańców Narodowych, zorganizowanego w ramach polskiej YMCA w Londynie. Już niejedne materiały, ogłoszone w „Poradniku Świetlicowym”, zawędrowały do Sta-

nów Zjednoczonych i wykorzystane zostały przez tamtejsze zespoły. Głód, odczuwany w tym zakresie, nie został jednak bynajmniej zaspokojony i wciąż istnieje zapotrzebowanie, oczywiście z jednym zastrzeżeniem, że będzie to materiał jak najbardziej autentyczny, nie skażony indywidualnymi wtętami w duchu pseudoartystycznych ambicji różnych bezkrytycznych entuzjastów płaśniania na nutę każdej polskiej melodii.

Z ŻYCIA YMCA

PLENARNE ZEBRANIE ŚWIATOWEGO KOMITETU YMCA

W ramach zebrania plenarnego Światowego Komitetu YMCA, które odbyło się w Nyborg Strand (Dania) w dn. 10—25 sierpnia rb., obradowała komisja, mająca na celu ustalenie wytycznych dla pracy YMCA wśród Polaków zagranicą. W toku dyskusyj dokonano przeglądu sytuacji Polaków na obszarze Niemiec, Belgii, Francji i Wielkiej Brytanii. Komisja doszła do wniosku, że w obecnych okolicznościach działalność YMCA wśród Polaków nie tylko musi trwać nadal, ale winna ulec rozszerzeniu i pogłębieniu.

Za podstawę rozważań wzięto fakt, że w czterech wymienionych krajach zamieszkuje obecnie ok. 800.000 Polaków. Niemal połowa tej liczby znalazła się poza własnym krajem wskutek wojny i warunków politycznych. Wśród uchodźców polskich duży odsetek stanowi młodzież, której wychowanie miało przebieg nienormalny. Ten stan rzeczy istniał od początku wojny i nie uległ zasadniczym zmianom po dzień dzisiejszy, co musi odbijać się szkodliwie na kształtowaniu charakteru. Dlatego przed ruchem YMCA otwarte jest pole dla szerokiej działalności.

Przy ustalaniu wytycznych na przyszłość liczone się z tym, że praca YMCA wśród Polaków poza własnym krajem, zwłaszcza zaś na obszarze Wielkiej Brytanii, nie jest przedsięwzięciem nowym. Tradycje przedwojennej Polskiej YMCA w kraju oraz działalność YMCA podczas ostatnich lat dziesięciu wytworzyły dla niej nader życzliwy stosunek społeczeństwa polskiego. Niezależność YMCA wobec prądów politycznych umożliwi uczestnictwo polskim uchodźcom bez względu na odmienne przekonania.

Zebrania w Nyborg Strand dały wyraz przekonaniu, że dorobek Polskiej YMCA posiada wielką wartość dla Światowego ruchu YMCA. Działalność Polskiej YMCA reprezentuje doświadczenie lat przeszło dwudziestu pięciu, zdobyte wśród społeczeństwa rz.-katolickiego, w którym YMCA znalazła powszechne uznanie. Nie bez znaczenia jest też fakt, iż wychowany został zastęp polskich przodowników tej pracy, z których sporo przebywa w różnych krajach, mając różne zatrudnienia, lecz mogą oni w każdej chwili podjąć pracę YMCA wśród Polaków na emigracji z chwilą jej dalszego rozwoju.

Wszystkie te względy przemówiły za tym, iż należy prowadzić nadal i rozwijać dotychczasową działalność imkarską wśród Polaków na uchodźstwie, umożliwiając im uczestnictwo w światowym ruchu YMCA.

Biorąc pod uwagę warunki obecne, uznane zostało za celowe istnienie Sekcyj Polskich na różnych terenach w ramach akcji Światowego Komitetu YMCA; w pewnych jedynie przypadkach sekcje te stanowią będą część narodowych związków YMCA w poszczególnych krajach, a to w zależności od warunków lokalnych. Sekcje polskie winny zachowywać właściwości ideowe, kulturalne i wychowawcze, towarzyszące tradycjom Polskiej YMCA. Autonomia ta jest także istotna z punktu widzenia wyznaniowego. Około 90 procent Polaków jest wyznania rz.-katolickiego, większość natomiast związków YMCA na świecie powstała w społeczeństwach protestanckich, toteż z natury rzeczy programy tych związków w wielu wypadkach nie mogłyby zapewnić katolikom rozwoju duchowego, odpowiadającego ich wyznaniu. Sytuacja pod tym względem jest zresztą bardzo różna w zależności od kraju i niepodobna jej generalizować; ważne jest natomiast, iż spotykamy się z prawdziwą lojalnością i zrozumieniem ze strony Światowego Komitetu i bratnich związków YMCA, oceniających konieczność zapewnienia pracy YMCA wśród Polaków jak najlepszych podstaw rozwojowych.

Program pracy YMCA wśród Polaków za granicą musi być obszerniejszy niż by to było w normalnych warunkach. Z sytuacji wytworzonych wydarzeniami dziejowymi wynikają nowe zadania i potrzeby. Obok szerzenia idei międzynarodowego zbliżenia i zrozumienia oraz demokratycznych podstaw życia chrześcijańskiego, ważnym zadaniem będzie pomoc ze strony YMCA w szkoleniu językowym i akcji zapoznawania zainteresowanych z najistotniejszymi cechami, prawami i kulturą krajów zamieszkania.

Celem szkolenia członków-wolontariuszów, pracujących w poszczególnych komitetach, kierowników zespołów i pracowników zawodowych YMCA, organizowane będą przez Światowy Komitet kursy, dostępne dla wszystkich Sekcyj Polskich, a także dla grup polskich YMCA, gdziekolwiek one istnieją. Absolwenci tych kursów przejmą odpowiedzialność za szkolenie przodowników na własnym obszarze działania. Jest rzeczą pożądaną, aby wolontariusze i pracownicy polscy brali udział w innych kursach, konferencjach i cyklach wykładów o charakterze międzynarodowym, organizowanych przez Światowy Komitet lub poszczególne związki YMCA.

Sekcje polskie YMCA współpracować będą z ruchami imkarskimi w krajach zamieszkania, szukając

dróg wzajemnej pomocy. Wobec tradycyjnych, serdecznych stosunków z Międzynarodowym Komitetem YMCA w USA i Kanadzie podjęte będą starania celem utrzymania nadal tej współpracy. Wreszcie Polskie Sekcje i polskie grupy imkarskie w różnych krajach winny nawiązywać kontakty wzajemne dla dzielenia się doświadczeniami, koordynacji programów i wykonywania zadań o wspólnej użyteczności. W tym celu odbywać się będą okresowe konferencje.

Zaleceniom i uchwałom programowym towarzyszyły wnioski natury finansowej, przewidujące m. in. doprowadzenie Polskich Sekcyj YMCA w W. Brytanii i Francji do stanu samowystarczalności.

Zyczliwość i braterski stosunek, jaki uczestnicy Plenarnego Zebrania Światowego Komitetu YMCA w Nyborg Strand okazali dla naszych najistotniejszych problemów, stanowią zachętę do wzmożenia wysiłków, by zadośćuczynić potrzebom, wynikającym ze szczególnego położenia Polaków na uchodźstwie.

WSPOMNIENIE Z OBOZU W BOTLEY

Trudno jest pisać wspomnienie o obozie letnim Sekcji Polskiej YMCA w Botley bez nawiązania do pięknych tradycji obozowania YMCA w Kraju. Do tych tradycji i zawsze żywych wspomnień z obozu „Beskid” koło Mszany Dolnej i obozu w Wieżycy na Kaszubach — nawiązywali ci z nas, którym jako doświadczonym obozowcom przypadła w udziale praca przodowników na obozie w Botley. I jeśli trudności organizacyjne i kwaterunkowe nie pozwoliły w pełni odtworzyć warunków, jakie panowały w najlepszym obozie krajowym „Beskid” — to przynajmniej zastąpił je prawdziwie imciarski duch, wynik szczęśliwej równowagi między rywalizacją sportową uczestników i solidarnością poszczególnych zespołów.

Niepodobna przyrównywać warunków w obozie w Botley do obozu Beskid. A więc przede wszystkim teren był zupełnie odmienny. Po obozie w Kraju zachowaliśmy wspomnienia przeszlicznego krajobrazu Beskidu Zachodniego, dalekich widoków po Babią Górę, Turbacz, i pobliski Szczebel, sąsiad góry Lubogoszcz, na której stoku położony był obóz Beskid. Tu oglądaliśmy obóz angielskiej YMCA nad rzeczką Hamble, w pobliżu jej ujścia do zatoki Southampton Water — w okolicy lekko tylko pofalowanej i w niedalekiej odległości morza. Ale nie tylko położenie obozu Botley jest odmienne. Inne są również tutaj warunki zakwaterowania i — powiedzmy to sobie szczerze — znacznie gorsze od tych, z jakich korzystali uczestnicy przedwojennych obozów YMCA w Mszanie Dolnej. Tam mieliśmy drewniane „chatki” (przypominające obszerne werandy), w których mieszkali uczestnicy obozu, oraz duży kompleks budynków drewnianych, stylowo zbudowanych z kłód drzewa sosnowego, w którym mieściła się świetlica, jadalnia, pomieszczenia dla przyjezdnych gości i t. d. W Botley warunki są znacznie bardziej prymitywne, gdyż uczestnicy mieszkają w namiotach, a tylko budynki administracyjne są stałe.

W Kraju byliśmy gospodarzami na własnym podwórku; tutaj byliśmy tylko częścią międzynarodowego obozu, jaki rozsiadł się na polanie obszerne parku posiadłości, zamienionej przez angielską YMCA na centrum obozownictwa i szkolenia morskiego. Stąd też nasz program i imprezy obozowe nie mogły być ściśle dostosowane do tradycji polskich i musieliśmy w znacznej mierze liczyć się z ramowym programem, jaki obowiązywał grupy pozostałe, w znacznej większości brytyjskie. Nie mogliśmy więc urządzać dnia „rewolucji”, który w Polsce był chyba dla wszystkich chłopców największym przeżyciem w czasie całego obozu. Nie było obozowej olimpiady, a to poprostu dlatego, że ilość uczestników polskich (ok. 30 chłopców) była za mała, aby tego rodzaju imprezę organizować. Nie mogliśmy urządzać regularnych ognisk, które w warunkach polskich były najważniejszą chwilą każdego dnia.

Jakkolwiek różnice tego rodzaju uniemożliwiały odtworzenie warunków zewnętrznych obozu Beskid, to jednak atmosfera obozu niewiele różniła się od tej, jaką pamiętamy w Mszanie

Dolnej. Podobnie jak i tam, kierownik obozu był naprawdę „ojcem” — dostępnym o każdej porze, zawsze pełnym inicjatywy, znającym odpowiedzi na wszystkie pytania, zrodzone w chłopięcej fantazji, i umiejącym zainteresować chłopców dawnymi dziejami. A sposobność na stosowanie tego ostatniego zamilowania było dużo, gdyż Botley leży na szlaku rzymskim, prowadzącym z południa na północ, i w najbliższej okolicy dużo jest pamiatek i wykopalisk z czasów rzymskiej okupacji. W nieco dalszej okolicy w Salisbury, Winchester, Bishop's Waltham pozostałości z czasów rzymskich i wczesnego średniowiecza spotkać można na każdym kroku. Wykorzystywano więc te okazje i wynajętymi autobusami czy nawet piechotą zwiedzano najważniejsze i najciekawsze osobliwości. W najbliższym sąsiedztwie obozu znajduje się niewielkie wzgórze, gdzie odkryto ślady obozowiska rzymskiego, — i tam też grupki młodocianych archeologów kierowały swe kroki, aby z tryumfem przynieść cegły, kamienie i skorupy „na pewno” rzymskie.

Rolę beskidzkiego „Żabiego Oka” odgrywało rozlewisko rzeki Hamble, malowniczo wyglądające w czasie przypływu, a w czasie odpływu pełne zdradzieckich trzęsawisk i piaszczystych łąk. Uczestnicy obozu oczekiwali więc na przypływ, aby skorzystać z kąpeli i uczuć się pływac.

Jak już to wyżej powiedziano, nie udało się zorganizować dla grupy polskiej t. zw. olimpiady. Ale za to w trzecim tygodniu obozu braliśmy udział w ogólnych mistrzostwach sportowych, w których indywidualnie i zespołowo wyróżniliśmy się jako grupa polska, a Bernard Herman zdobył mistrzostwo indywidualne w ogólnej punktacji licznych konkurencji, uzyskując w nagrodę srebrny puchar, który później zdobył skromne wnętrze czwartego namiotu. Bohaterem dnia był 14 letni Waldemar Szykowski, który wspaniałym zrywem zdobył dla naszej drużyny zwycięstwo w biegu sztafetowym. Nie mieliśmy jednak szczęścia w przeciąganiu liny (jak to Anglicy nazywają „tug of war”), gdyż mimo pomocy ze strony największego tuszą przodownika, zostaliśmy sromotnie pobici przez chłopców ze szkoły morskiej.

Nie brak było, jak to przecież na każdym obozie się zdarza, chwil krytycznych, kiedy to przytomność umysłu „ojca”, zmysł humoru u naszych chłopców i flegma brytyjskich gospodarzy pomagały w szczęśliwym rozwiązaniu sytuacji. Do tych należał wypadek, jakiemu uległ 12 letni Krzyś, spadając z drzewa. Krzyś zniósł prawdziwie po męsku ból i w czasie operacji w szpitalu zachował się równie dzielnie.

Podobnie jak w warunkach krajowych, tak i tutaj pamiętano o wychowaniu umysłowym uczestników. W pogadankach, wygłaszanych dla chłopców, mówiono przede wszystkim o kraju takim, jakiego wielu z nich nie pamięta. Mówiliśmy więc o ziemi polskiej; odbywając na mapie wędrówki wzdłuż Wisły czy Karpat, opowiadaliśmy chłopcom o piękności naszego krajobrazu, o przeszłości ziem naszych, o miastach, zamkach i legendach. Ciekawe wspomnienie o Krakowie w czasie okupacji niemieckiej wygło-

sił szesnastoletni Jacek Barucki, zwany „królem” drugiego namiotu.

Oprócz spacerów w najbliższe okolice odbyliśmy kilka wycieczek do Winchester i innych miejsc o historycznej przeszłości, a ponad to niezwykle udaną wycieczkę na wyspę Wight, w czasie której chłopcy oglądali w porcie Southampton największe transatlantyki świata: „Queen Elizabeth” i „Aquitania”.

Jak się to zawsze zdarza, między chłopcami nie brak było i w Botley zdrowego humoru. Uczestnicy obozu pamiętają dobrze, co się działo w wieczór poprzedzający zakończenie obozu; sławetne wyczyny „Króla”, który o północy tegoż dnia, obudziwszy długim

nawoływaniem swego sąsiada — Adasia N., udał się, aby obluźnić sznury czwartego namiotu; turnieje bokserskie dwóch beniaminków obozu — braci Cezarego i Zdzisława.

Wracaliśmy do Londynu, z żalem opuszczając słoneczną polanę w Botley, bo nawet pogoda tego roku nam dopisywała. Dla chłopców był to koniec „Wielkiej Przygody” w ich młodzieńczej wyobraźni; dla najstarszych był to koniec okresu, w którym, zapomniawszy o Korei i o nadchodzącej burzy, oddychaliśmy atmosferą taką, jaką tylko stworzyć może młodzież, nie zepsuta wpływami cywilizacji, wojen i zakłamania. *Jerzy Zubrzycki*

R Ó Ż N E

YMCA W DANII

Początki ruchu imkarskiego w Danii sięgają roku 1875. Obecnie w kraju tym znajduje się 655 ośrodków YMCA oraz 699 placówek YWCA, ponadto zaś 87 ośrodków wspólnych dla chłopców i dziewcząt. Daje to łącznie imponującą liczbę 1.441 placówek. Liczba członków dobiega do stu tysięcy. Ruch imkarski rozporządza 118 domami i 80 hostelami. Szkolenie przodowników odbywa się zgodnie z zasadami, stosowanymi w innych krajach. W roku 1948 założono specjalną szkołę dla sekretarzy imkarskich. Co dwa lata odbywają się dodatkowe kursy przeszkoleniowe. W roku 1950 duńska YMCA/YWCA zorganizowała 128 obozów letnich. W najbliższym czasie przewiduje się utworzenie imkarskiego Instytutu Wychowania Fizycznego. Duńska YMCA prowadzi również 15 świetlic żołnierskich. Rozporządza ona własnym zakładem wydawniczym, który ogłasza corocznie około 200.000 broszur i książek. Jak wiadomo, ostatnie zebranie plenarne Światowego Komitetu YMCA odbyło się w Danii.

RUCH IMKARSKI W STREFIE AMERYKAŃSKIEJ NIEMIEC

Kiedy przedstawiciele Międzynarodowej YMCA przybyli w roku 1945 na obszar Niemiec, nie mieli oni zamiaru tworzyć grup i zespołów YMCA. Zadanie ich polegało na prowadzeniu akcji opiekuńczej w szerokim zakresie oraz dostarczaniu środków kształcenia się i godziwej rozrywki ogółowi przesiedleńców, bez względu na wyznanie, narodowość i powiązania organizacyjne.

Jednak podczas zwiedzania poszczególnych obozów wyszło na jaw, że w niektórych miejscowościach powstały już samorzutnie zespoły imkarskie. Inicjatorami byli zazwyczaj członkowie YMCA, rekrutujący się z Estonii, Łotwy i Polski, gdzie YMCA istniała na wiele lat przed ostatnią wojną. Idąc za tym przykładem, przedstawiciele innych narodowości zapragnęli należeć do podobnych zespołów, chociaż zazwyczaj nie orientowali się jeszcze należycie w celach i zadaniach YMCA.

Personel YMCA uznał za swój obowiązek udzielenie tej samorzutnej akcji koniecznego poparcia. Opracowano ustawę ogólną dla YMCA i YWCA, obejmującą zarówno chłopców, jak i dziewczęta. Osoby, zaliczone w poczet członków czynnych, stwierdzały wolę współdziałania w dążeniach YMCA, określonych jako „praca w kierunku pełnej dojrzałości wewnętrznej i rozwoju charakteru, umysłu i ciała, dająca w wyniku poczucie odpowiedzialności społecznej i związanej z nim służbę dla bliźnich”.

Tak zapoczątkowany ruch organizacyjny wykazał wielką żywotność. Obecnie w strefie amerykańskiej istnieje około 160 zespołów imkarskich, zrzeszających 13 narodowości. Reprezentowane są w nich wszystkie wyznania chrześcijańskie. Część

zespołów zamyka się w ramach jednej narodowości, część zaś ma skład międzynarodowy.

Doświadczenie zdaje się dowodzić, że w przypadku składu mieszanego wskazane jest tworzenie mniejszych komórek, skupiających osoby jednej narodowości. Ta forma organizacyjna okazała się użyteczniejsza, niż mieszanie razem różnych narodowości we wspólnej grupie; najwłaściwszą drogą do uchwycenia wartości obcych była świadomość kultury ojczystej. W wyniku praca w ramach zespołów narodowych prowadzi najsukcesyjnie do współpracy na szerszym obszarze międzynarodowym.

Rejestracji podlegają jedynie te ośrodki imkarskie, które czynią zadość dwóm warunkom: 1. prowadzą szkolenie i systematyczną działalność, odpowiadającą trzem podstawowym dążnościom YMCA, 2. pełnią służbę społeczną w ramach całego obozu lub społeczności w danej okolicy. W większości obozów miejscowe ośrodki imkarskie są odpowiedzialne za całą organizację wczasów dla ogółu mieszkańców.

OBÓZ STUDENCKI W MURNAU

Mimo trudności, spowodowanych przez wstrzymanie pomocy materialnej ze strony IRO, uruchomiono w roku bieżącym obóz letni dla młodzieży akademickiej w Murnau. Wybór padł na tę miejscowość ze względu na bliskie sąsiedztwo z Oberammergau, gdzie, jak wiadomo, odbywają się co 10 lat słynne widowiska pasyjne. Uczestnicy obozu pragnęli wyzyskać sposobność zapoznania się z tymi jedynymi w swoim rodzaju przedstawieniami religijnymi.

Dzięki staraniom YMCA oraz życzliwemu stanowisku Stowarzyszeń i Związków Pomocy udało się zdobyć niezbędny ekwipunek i zapewnić dostatnie wyżywienie. Namioty rozłożono w pięknej posiadłości obok Murnau, z widokiem na jezioro i na Alpy bawarskie.

Celem podstawowym obozu było wyszkolenie przodowników pracy społecznej, ciągle poszukiwanych w obozach uchodźczych. Zorganizowano kursy metodyczne nauczania języków obcych, kursy dla inspektorów obozowych i dla instruktorów wychowania fizycznego. Prócz tego odbyło się wiele wykładów uzupełniających, związanych z warunkami życia uchodźczego.

Program obozowy spotkał się z nader życzliwym przyjęciem. Niepodobna oczywiście przewidzieć, ilu uczestników spełni pokładane w nich nadzieje; w każdym jednak razie wykazywali oni dużo zainteresowania i zapału. Mimo niesprzyjającej pogody wszędzie panował nastrój młodzieńczego humoru.

JESZCZE O AKCJI OBOZÓW LETNICH

W strefie francuskiej Niemiec tegoroczny obóz letni w Schluchsee zgromadził 292 uczestników, reprezentujących 16 różnych narodowości. Przyjmowano dzieci i młodzież w wieku od lat 9

do 20. Sprzętu dostarczyła YMCA ze strefy brytyjskiej; żywność zapewniła IRO. Na miejscu zorganizowano staranną opiekę lekarską.

Ponieważ wielu doświadczonych przodowników obozowych wyemigrowało do innych krajów, trzeba było przystąpić do szkolenia nowych kandydatów. Przygotowanie dzieliło się na trzy fazy: 1) dziesięciodniowy kurs teoretyczny, połączony z przyzwyczajaniem się do mieszkania na otwartym powietrzu; 2) pięciodniowy pobyt wśród dzieci dla zapoznania się z rzeczywistymi warunkami pracy; 3) czterodniowe szkolenie uzupełniające.

Program obozowy był opracowany zgodnie z tradycjami imkarskimi. Zarazem liczył się on ze szczególnymi potrzebami dzieci. Stwierdzono, że były one zdolne do współżycia w gromadzie, ale nie wykazywały przy tym koniecznego opanowania i spokoju. Dlatego starano się budzić przyjazne nastroje i wyrabiać umiejętność wzajemnej współpracy na demokratycznych podstawach. Postęp ogólny pod względem wyrobienia społecznego był niewątpliwy.

Nie pominięto nauki języków obcych. Do tego celu posługiwano się metodą „Linguaphone”; poza tym starsza młodzież gromadziła się w t.zw. Klubie Amerykańskim, gdzie odbywały się dyskusje w języku angielskim.

OBÓZ ZIMOWY WE FRANCJI

We Francji YMCA organizuje obóz, który ma być uruchomiony z dniem 15 grudnia b.r. Obóz mieścić się będzie w pobliżu miejscowości Megeve (Haute-Savoie). Do użytku uczestników oddany będzie dom dwupiętrowy z centralnym ogrzewaniem, wodą bieżącą gorącą i zimną i dwoma tarasami. Górskie otoczenie stwarza dogodny warunki dla uprawiania sportów zimowych, zarówno jeśli chodzi o sportowców zaawansowanych jak i nowicjuszy. Obóz jest dostępny dla członków YMCA we wszystkich krajach. Ceny ustalono w sposób następujący: za pobyt dłuższy (ponad 7 dni) — 550 franków dziennie za week-endy i okres Bożego Narodzenia — 650 fr. dziennie. Zainteresowani winni zwracać się po bliższe informacje do YMCA, Service de Voyages, 13, Avenue Raymond Poincaré, Paris 16e.

ZEBRANIA BYŁYCH OBOZOWCÓW

Chłopcy, którzy uczestniczyli w tegorocznym obozie w Botley koło Southampton nie zerwali więzów przyjaźni, które zespały ich w okresie obozowym. Co miesiąc gromadzą się w lokalu Klubu YMCA, aby spędzić kilka godzin na pogawędce. Du-

żym urozmaiceniem tych zebrań są filmy, ilustrujące życie w Kraju. Tylko ci spośród chłopców, którzy uczęszczają do szkół poza Londynem, nie mogą na zebrania przybywać; reszta jawia się z przykładową regularnością. Wszyscy obozowcy niecierpliwie wyglądają lata, aby spotkać się ponownie pod namiotami mkarskimi.

KOŁO FOTOGRAFICZNE

Dużą ruchliwość wykazuje zorganizowane przed kilkoma miesiącami przy Klubie Londyńskim Koło Fotografów, zrzeszające grono wybitnych specjalistów z zakresu fotografii. Na zebraniach przedmiotem referatów i dyskusji są zazwyczaj najnowsze postępy techniczne fotografii. Koło zorganizowało dotychczas dwie wystawy, wyróżniające się wysokim poziomem artystycznym. Ekspozycje zostaną w najbliższym czasie wystawione do klubów w Barnsley i Sheffield, gdzie zostaną udostępnione dla szerszej publiczności.

„Poradnik Świetlicowy”, witając z zadowoleniem ten nowy przejaw ruchliwości artystycznej, zamieszczać będzie od czasu do czasu artykuły poświęcone różnym problemom sztuki fotograficznej. Na początek zamieszczone zostały informacje, dotyczące budowy aparatu do powiększeń, tego niezbędnego urządzenia nowoczesnej fotografii, rozszerzającego w wydatnym stopniu jej możliwości artystyczne.

Podnieść należy, że obie wystawy Koła Fotografów wzbudziły żywy odzew w polskiej prasie londyńskiej.



Z wystawy malarskiej w Klubie Londyńskim YMCA

BIBLIOGRAFIA

KSIĄŻEK W JĘZYKU ANGIELSKIM O POLSCE

W związku ze zbliżającymi się świętami, na życzenie naszych czytelników, podajemy wykaz książek w języku angielskim (z dodatkiem kilku pozycji polskich), poświęconych Polsce i jej sprawom.

ANDERSON, Herbert, Foster: What I saw in Poland — 1946. Slough, Windsor Press, 1946, 80, 194 pp.

ART, Bohdan: W pogoni za Luftwaffe. Edinburgh, Składnica księgarska, 1946, 80, 106 pp.

BOR-KOMOROWSKI, Tadeusz: The secret Army. London, V. Gollancz, 1950, 80, 407 pp.

BRZESKA, Maria: Through a woman's eyes. Life in Poland under the German occupation. London, Max Love, 1944, 80, 90 pp.

CIECHANOWSKI, Jan: Defeat in Victory. London, V. Gollancz, 1948, 80, 415 pp.

CZAPSKI, JÓZEF: Na nieludzkiej ziemi, Instytut Literacki, 1949, 80, 320 pp.

JANTA, Aleksander: I lied to live. A year as a German family slave. New York, Roy, 1944, 80, 312 pp.

LANE, Arthur Bliss: I saw Poland betrayed. An American Ambassador report to the American People. Indianapolis, Bobbs-Merill Co., (1948) 80, 344 pp.

LEITGEBER, Witold: It speaks for itself. What British war leaders said about the Polish Armed Forces 1939-1946. Selections from communiqués, speeches, messages and press reports made by... London, 1946, 80, 163 pp.

MAKUCEWICZ, P.: I escaped from Germany. London, Max Love, (1944), 80, 125 pp.

MIKOŁAJCZYK, Stanisław: The Pattern of Soviet Domination. London, Faber (1948), XIV, 353 pp.

NORWID-NEUGEBAUER, M.: The Defence of Poland. (Sept.) 1939. London, M. I. Kolin, 1942, 80, 228 pp.

POLAND, MINISTRY OF FOREIGN AFFAIRS. The German occupation of Poland, London, (1942), 80, XI, 187 pp.

POLAND, MINISTRY OF INFORMATION. The German new order in Poland. London, Hutchinson, 1942, 80, XIV, 585 pp.

POLSKA karząca w ogniu. Reportaż z Armii Krajowej. Londyn, Światowy Związek Polaków z Zagranicy, 1945, 80, 104 pp.

POMIAN, Andrzej: The Warsaw Rising. A selection of documents. London 1945, 40, XII, 95 pp.

ŚWIĘCICKI, Marek: Seven Rivers to Bologna. London, J. Rolls Book Co., (1945), 80, 115 pp.

ŚWIĘCICKI, Marek: With the Red Devils at Arnhem. London, Max Love, 1945, 80, 91 pp.

WAŃKOWICZ, Melchior: Bitwa o Monte Cassino. T. I-III. Edinburg, Składnica Księgarska, 1946, 40.

DZIEJE LITERATURY

BRUECKNER, Aleksander: Literatura polska od jej początków do chwili obecnej. Do druku przygotował i uzupełnił Stanisław Lam. Paris, Księgarnia Polska, (1948), 80, 317 pp.

KUNCEWICZOWA, Maria: Modern Polish prose. Birkenhead, Polish Publications Committee, 1945, 80, 16 pp.

LEDNICKI, Waclaw: Life and Culture of Poland as reflected in Polish Literature, New York, Roy, 1944, 80, XI, 328 pp.

PATKANIOWSKA, M, Corbridge: The Spirit of Polish Literature. Lecture delivered at the Conference on Poland for teachers. Birkenhead, Polish Publications Committee, 1944, 80, 35 pp.

LITERATURA PIĘKNA

A call from Warsaw. An Anthology of underground Warsaw poetry, Transl. by A. Mackie, Glasgow, J. Harasowska, 1944, 40, 16 pp. (A Polish Library Pamphlet).

FILIP, T. M.: A Polish Anthology selected by... Transl. by M.A. Michael. London, Duckworth, (1944), 80, 405 pp.

FREDRO, Aleksander: Maidens Vows or the Magnetism of the Heart. Transl. Arthur Prudden, Coleman & Marion Moore Coleman, Schenectady, N. Y., 1940, 08, 89 pp.

MICKIEWICZ, Adam: Forefathers, Part I & II. Transl. by Count Potocki of Montalk, London, The Right Review, 1944, 80, 66 pp.

MICKIEWICZ, Adam: Poems. Transl. by various hands & edited by George Rapall Noyes, New York, Polish Institute of Art & Sciences in America, 1944, 80, 486 pp.

The Years of Exile. Selections from the Polish poets now in Britain. Transl. by Frances Notley, London, New Europe Publ. Co. 1943, 80, 38 pp.

GRYDZEWSKI, M.: Wiersze polskie wybrane. Antologia. Londyn, Min. W.R. i O.P., 1946, 40, 351 pp.

CHOROMANSKI, M: Jealousy & Medecine. Transl. by E. Arthurton. London. The Willow Press. (1946), 80, 282 pp.

FIEDLER, Arkady: Squadron 303. London, Peter Davis, (1942), 80, 182 pp.

JAN, Portrait of a Polish Airman. By his English Wife. London. G. Bles, 1944, 80, 256 pp.

KADEN-BANDROWSKI, J: Call to the Cuckoo. Transl. by Hans Linn. Altrincham J. Sherratt, (1948), 80, 261 pp.

KORCZAK, J: Big Business Billy. Transl. by Cyrus Brooks. London, Minerva Publ. Ltd., 1939, 80, 252 pp.

KOSSAK, Zofia: Blessed are the Meek. A novel about St. Francis of Assisi. Transl. by Rulka Langer. New York, Roy Publishers, 1944, 80, 375 pp.

KOSSAK, Zofia: The gift of Nessus. London, Hutchinson, (1949), 80, 223 pp.

KOSSAK, Zofia: The Leper King. (Transl. by F. S. Płaczek). London, Hutchinson, (1947), 80, 176 pp.

KUNCEWICZOWA, Maria: The Keys. A journey through Europe at war. London, Hutchinson, International Authors Ltd., (1946), 80, 176 pp.

KUNCEWICZOWA, Maria: The Stranger. Trans. by B.W.A. Massey. London, Hutchinson International Authors Ltd. (1944), 80, 172 pp.

LESLIE, Doris: Polonaise. (A novel on Fryderyk Chopin). London, The Book Club, (1944), 80, 245 pp.

LISIEWICZ, Mieczysław: Chronicles of Lake Narocz. Transl. by Ann Maitland-Chuwen. Glasgow, Polish Library, 1945, 80, 224 pp.

NOWAKOWSKI, Zygmunt: The Cape of Good Hope. Transl. by Kate Żuk-Skarszewska. London, Minerva Publishing Co., (1941), 80, 251 pp.

ORSKA, Irena: Silent is the Vistula. The story of the Warsaw uprising. Transl. by Marta Erdman. New York, Longmans, Green & Co., 1946, 80, 275 pp.

PARANDOWSKI, Jan: The Olympic Discus. Transl. by A. Małeczka and S. Walewski. London. Minerva Publ. Co (1939), 80.

POMIAN, Bolesław: Up to the Brightest Star. Edinburg, Składnica Księgarska, 1946, 80, 227 pp.

REYMONT, Władysław: Stanisław: The Peasants, Vols. I-IV. New York, A.A. Knopf. 1942, 80.

SIENKIEWICZ, Henryk: In Desert and Wilderness. Transl. by Max A. Drezmal Edinburg, Polish Book Depot. 1945, 40, 303 pp.

SIENKIEWICZ, Henryk: Quo Vadis? (Whither Goest Thou?) London, Fr. Aldor, (1948), 80, 451 pp.

SIENKIEWICZ, Henryk: The Teutonic Knights. Edinburg, (A. Tyszkiewicz), print by T. Nelson, (1943), 80, 728 pp.

TETMAJER, Kazimierz Przerwa: Tales of the Tatras. Transl. by H. E. Kennedy and Zofia Uminska. Foreword by John Rose. London, Minerva Publ. Co., 1941, 80, 189 pp.

WIERZYŃSKI Kazimierz: The Forgotten Battlefield. Transl. by Edmund Ordon, New York, Roy Publ., 1944, 80, 179 pp.

S Z T U K A

ESTREICHER, Karol: Kraków miastem sztuki. Londyn, Światowy Związek Polaków z Zagranicy. 1945, 80, 52 pp., Plates.

GOTLIB, Henryk: Polish Painting. London, Minerva, 1942, 40, 147 pp.

HEDLEY, Arthur: Chopin. London, J. M. Dent, 1947, 80, 214 pp. The Master Musicians.

PIOTROWSKA, Irena: The art of Poland. New York, Philosophical Library, 1947, 40, 238 pp.

WIERZYŃSKI, Kazimierz: Life and death of Chopin. New York, Simon & Schuster, 1949, 80, 444 pp.

P A M I Ę T N I K I

MEYER, Stanisław: My City (Warsaw) Reminiscences. Newtown, Montgomeryshire Printing Co., 1947, 8, XII, 136 pp.

PIŁSUDSKA A.: Memoirs of Madame Piłsudski. London, Hurst and Blackett. 1940, 80, 352 pp.

WITTLIN, Józef: Mój Lwów. New York, Biblioteka Polska, 1946, 80, 42 pp.

R E F E R E N C E B O O K

ROCZNIK Polonii Zagranicznej na r. 1948. Thornton Heath, Atlas, 80, 263 pp.

ROCZNIK Polonii, Poles Abroad. Year Book and Directory, 1950, Taurus Ltd., 80, 248 pp.

K S I Ą Ż K I O P O L S C E D L A A N G L I K Ó W

PATKANIOWSKA, M. Corbridhe: Essentials of Polish Grammar for English Speaking Students. Glasgow, Książnica Polska, 1944, 8:, 618 pp.

PATKANIOWSKA, M. Corbridge: Teach yourself Polish, London, English University Press, (1948), 80, VIII, 276 pp. The Teach Yourself Series.

STANISŁAWSKI, J.: English-Polish & Polish-English Dictionary, London, Minerva, 1943-1945, J. Rolls Book Co, 1946, 80 416 pp.

SWICZ V.: First steps in Polish for self-tuition. Edinburgh, Oliver & Boyd, 1944, 80, 132 pp.

TESLAR, J. A.: New Polish Grammar, Edinburgh, Oliver & Boyd, 1941, 80, 336 pp.

WYSOCKA, B.: Polish Reader, London, L. Humphries, 1943, 80, 95 pp. Modern Language Readers.

H I S T O R I A

The Cambridge History of Poland. 1697-1935. Ed. by F. Reddaway, J. H. Penson, O. Halecki, R. Dyboski. Cambridge, University Press, 1941, 80, XVI, 630 pp.

DYBOSKI, Roman: Outlines of Polish History. London, G. Allen & Unwin, 1941, 8:, 278 pp.

GARDNER, Monica M.: Poland, 4th ed. London. A. & C. Black, 1942, 80, VIII, 87 pp.

GÓRKA, Olgierd: Outline of Polish History. Past & present. London, M. I., Kolin, 1942, 80, III pp.

HAIMAN, Mieczysław: Kościuszko, Leader & Exile. New York, Polish Institute of Arts & Sciences in America, 1946, 80, VII, 183 pp.

HALECKI, Oskar: The History of Poland, London, J. M. Dent, 1942, 80, 272 pp.

HALPERN Ada: Liberation—Russian style. London, Max Love, 1945, 80, 106 pp.

HORN, D.B.: British public opinion and the first partition of Poland. Edinburgh, Oliver & Boyd, 1945, 80, 98 pp.

KISIELEWSKI, Józef: Ziemia gromadzi prochy. Edinburgh, Oliver & Boyd, 1941, 40, 501 pp.

KOT, Stanisław: Five Centuries of Polish Learning, Three lectures delivered in the University at Oxford. Oxford, Blackwell, 1941, 80, 53 pp.

KRIDL, Manfred (& others): For your freedom & ours. Polish progressive spirit through the centuries. Edited by Manfred Kridl, Wł. Malinowski, Józef Wittlin, New York, F. Ungar, 1943, 40, 359 pp.

ROSE, W. J.: Poland Old & New. London, G. Bell, 1948, 80, XI, 354 pp.

ROSE, W. J.: Poland's place in Europe, Three lectures, London, The Scottish Polish Society, London Branch, 1945, 80, 39 pp.

SCHMITT, Bernadotte, E. (ed): Poland. Berkeley, University of California Press, 1945, 80, 500 pp. (The United Nations Series).

SZCZEPAŃSKI, Seweryn: Education in Poland. Transl. by F. C. Anstruther. The Scottish-Polish Society, London Branch, 1942, 80, 88 pp.

ZWEIG, Ferdynand: Poland between two wars. A critical study of social & economic changes. London, Secker & Warburg, 1944, 80, 176 pp.

D R U G A W O J N A Ś W I A T O W A

ANDERS, Władysław: An Army in exile. The story of the Second Polish Corps, London, Macmillan, 1948, 80, XVI, 319 pp.

ANDERS, Władysław: Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946. (Newton), Montgomeryshire Printing Co., (1949) 80, XV, 447, plates.

**DZIAŁ SPOŻYWCZY
FREGATA MERCHANTS LTD.**

Dostarcza Wszelkie Produkty Kontynentalne
i Nieracjonowane
dla Kantin, Restauracji itp.
po Cenach Hurtowych — również w Detalu.

Cenniki na żądanie

Adres:

**FREGATA
MERCHANTS LTD.
11, GREEK STREET, LONDON, W.1.**

**NAJLEPSZA POMOC
DLA BLISKICH W KRAJU**

to
NYLONY
MATERIAŁY WEŁNIANE
KOCE
OBUWIE
BIELIZNA
LEKARSTWA
PACZKI do ROSJI

TOWARY EKSPORTOWE.

Ceny niższe niż w Sklepach.

Cenniki i Próbki na żądanie.

**FREGATA
MERCHANTS LTD.
11, GREEK STREET, LONDON, W.1.
Tel. GERARD 2522.**

**DRUKARNIA POLSKA
M. CAPLIN & Co. PRESS Ltd.**

15, DUNHEVED RD. NORTH, THORNTON HEATH, SURREY

Tel.: THO 2727

PERIODYKI,
KSIĄŻKI,
BROSZURY,
BLANKIETY FIRMOWE,
POCZTÓWKI,
BILETY WIZYTOWE

KALENDARZYK IMPREZ

na GRUDZIEŃ 1950

KLUBU SEKCJI POLSKIEJ YMCA W LONDYNIE

3. NIEDZIELA — godz. 3.00
* Zwiedzanie White Chapel Gallery — (High Street, Whitechapel, E.1. — Dojazd: Altgate East).
6. ŚRODA — godz. 7.30
Z cyklu: „Hygiena wieku dojrzałego i starości” — Walka z neurastenią. W/g Dr Tarnawskiego.
Inż. CELINA TARNAWSKA-BUSZA
10. NIEDZIELA — godz. 3.00
* Zwiedzanie zbiorów indyjskich — V. A. Museum. — Imperial Institute Road, — od Exhibition Road). — Zbiórka w hallu.
— godz. 5.00
„Polski pisarz na obczyźnie”.
Dyskusja przy herbatce, zagajona prelekcjami.
Dr WITA TARNAWSKIEGO
Red. TADEUSZA NOWAKOWSKIEGO
Red. ZDZISŁAWA BRONCLA
Wstęp z herbatką — dla członków 1/-;
dla gości 1/6.
13. ŚRODA — godz. 7.30
„Polska sztuka dekoracyjna. Z przezroczami.
F. STRZAŁKO
17. NIEDZIELA — godz. 3.00
* Tate Gallery. — Odczyt z pokazem pt. „Problemy malarstwa abstrakcyjnego”.
— godz. 5.00
Zamknięcie wystawy monotypii ST. STARZYŃSKIEGO — dyskusja z artystą.
20. ŚRODA — godz. 7.30
Z cyklu: „Literatura współczesna” — pt. „Rak i piekło racjonalizmu”. — Odczyt ilustrowany przez Krystynę Dygatówną fragmentami z H. G. Wellsa, A. Huxleya i G. Orwella.
Z. BRONCEL
- 23, 24, 25. Klub zamknięty.
26. WTOREK — godz. 5.00
Koło Obozowców Y.M.C.A Botley — Świąteczne gawędy i kolędy.
27. ŚRODA — godz. 7.30
„Kolęda pod choinką” — Wieczór towarzyski przy herbatce.
31. NIEDZIELA 8—2 w nocy
„Przywitanie Nowego Roku” — Sylwestra w Klubie. — Wstęp z kolacją dla członków 4/-; dla gości wprowadzonych 6/- (za zaproszeniami) — zaproszenia w Klubie.
* Oprowadza Prof. M. BOHUSZ-SZYSZKO.